

ROKSTAV



BŁAŻEJ WILCZYŃSKI

Rozdział 1

„Początki podobno są najlepsze, ale chyba tylko z dziewczynami”

Padał rzęsy deszcz, ale nie za bardzo się tym przejmowałem. Moje ubranie i tak nie miało prawie żadnego suchego kawałka. Był szósty grudnia, więc można by chociaż nieśmiało liczyć na jakiś pierwszy śnieg, który nieśmiało wprowadzałby świąteczny klimat, a tak pozostało mi tylko kląć na to grudniowe przedłużenie listopada. Moja mama zwykła mawiać, że grudzień to miesiąc największych niespodzianek...

Tak, urodziłem się w grudniu. W dodatku dokładnie trzydzieści lat temu. Z tego powodu przed dwudziestoma dwoma godzinami specjalnie wyłączyłem telefon, żeby nie odbierać tych ironicznych życzeń typu „Szczęśliwej trzydziestki”. Mogę się założyć, że tym razem napisało do mnie o połowę więcej osób, niż to miało miejsce rok temu, bo ludzie naprawdę lubią ci przypominać o twoich osobistych tragediach. Dobrze, że czterdziestka dopiero za 10 lat. Wtedy chyba naprawdę wyłączę telefon na tydzień przed, bo z czasem znajomi robią się coraz bardziej przebiegli.

Kiedy w końcu dobiegłem do przystanku autobusowego, wyciągnąłem moją gitarę akustyczną z pokrowca, który tak jak moje ubranie, można było opisać trzema słowami: „Niemał stuprocentowa wilgotność”. Kurde. Czy nie takimi słowami określa się pierwszy wyjazd nastolatków pod namiot?

Wykręciłem przemoczony pokrowiec jak najmocniej umiałem i z powrotem włożyłem do niego gitarę, która na szczęście miała z jakieś piętnaście lat i zdążyła przeżyć już tyle, że taki nie do końca ciepły i taki nie do końca letni deszcz, działał na nią niczym oczyszczająco-wygładzający kremik.

Zabawne. Kiedy w wieku czternastu lat zaczynałem się uczyć grać na gitarze, nie mogłem nawet podejrzewać, że ten instrument będzie moim jedynym źródłem utrzymania w wieku trzydziestu lat. Oczywiście nie jestem gwiazdą rocka. Po prostu uczę grać dzieciaki, które też chcą zostać gwiazdami rocka, także chyba powinienem zacząć uczyć też siebie, bo oczywiście też chcę zostać.... gwiazdą rocka. Grałem nawet w kilku kapelach, ale kiedy zaczęła się robić z tego poważniejsza sprawa, ktoś nagle stwierdzał, że mu bardzo przykro, ale że praca, albo że za niedługo się żeni i nie ma czasu na granie. No tak. Gwiazda rocka + praca + żona to bardzo nielogiczne połączenie. Lecz niestety prawda jest taka, że większość amatorskich muzyków po prostu wyrasta z marzenia zwanego „Rockstar” i zaczyna zajmować się normalnym życiem, ale chyba u mnie ta cecha całkowicie zanikła.

Nawet mi samemu trudno uwierzyć, że wszystko wyglądało całkowicie inaczej jeszcze jakieś pięć miesięcy temu. Przez dziesięć lat pracowałem w agencji reklamowej należącej do ojca mojej dziewczyny. To znaczy aktualnie mojej byłej

dziewczyny. A jeśli ktoś nie wie, jaka jest różnica pomiędzy wspaniałym szefem, a beznadziejnym szefem, to już tłumaczę, że jest dokładnie taka sama jak między dziewczyną, a byłą dziewczyną. Szef oprócz oczywistej zmiany nastawienia, również staje się byłą.

Tym samym stałem się bezrobotny i rzucony przez dziewczynę, z którą byłem jedenaście lat. Niektórzy ludzie nazywają taką sytuację życiowym zakrętem lub jeszcze jakimś innym bardziej depresyjnym stwierdzeniem. Ci sami ludzie wyjeżdżają wtedy na przykład do Indii aby, jak to twierdzą, zdefiniować siebie od nowa. Czasem też wstępują do klasztoru, czasem zaczynają pić, albo brać mniej lub bardziej dozwolone środki. Albo może robią to wszystko naraz.

Ja wybrałem trochę inną ścieżkę własnej reaktywacji, a mianowicie zacząłem studiować architekturę i zamieszkałem w akademiku, co zmusiło mnie do wyprowadzki z mojego rodzinnego miasta. Nie było to jednak aż takie straszne, bo podobno w czasie życiowych zakrętów nic tak nie pomaga, jak całkowita zmiana otoczenia.

Nie mogę jednak zaprzeczyć, że w ogóle nie obawiałem się skutków swojej decyzji. Rozpocząć studia i zamieszkać w akademiku w wieku trzydziestu lat, to niemal to samo, jak skończyć osiemnastkę i na drugi dzień zapisać się do przedszkolnej grupy starszaków. Jednak w czasach, gdy moi rówieśnicy szli na studia, moja głowa była wypełniona słowem „Rockstar” (w sumie jest nadal), a teraz, kiedy moi rówieśnicy zakładają rodziny, postanowiłem nadrobić swoje naukowe zaległości. Naprawdę kocham swoje mentalne, dziesięcioletnie opóźnienie. Lecz z drugiej strony studia nie wydawały mi się wtedy potrzebne, bo trzeba odpowiedzieć sobie na jedno bardzo ważne pytanie. Po co idzie się na studia? Według mnie istnieją trzy powody. Pierwszy i bardzo oklepany to ten, że studia mają zapewnić później dobrą pracę. Drugi, jeszcze bardziej oklepany to taki, że na studiach trzeba zaimprezować za resztę życia, zupełnie jakby w momencie ukończenia uczelni dostawało się pierwszą zniżkę na swoją własną trumnę. Zapomniałem dodać, że punkt numer dwa należy pomnożyć razy trzy. Trzeci i ostatni powód jest taki, że na studiach należy znaleźć dziewczynę. Ten punkt niektórzy mnożą razy dwadzieścia, a niektórzy razy zero. W tym przypadku nie ma żadnej reguły.

Jak już wspominałem, w wieku w którym należy iść na studia, miałem nie tylko dziewczynę, ale i dogadaną pracę u jej ojca. Imprez też nie brakowało, a nieramowy czas pracy w agencji reklamowej był tutaj tylko atutem. Także w tamtym czasie wydawało mi się, że studia przeszkodzą mi tylko i w karierze muzycznej i w karierze w pracy, ale jak się później okazało, odnośnie tej muzycznej kariery, nie za bardzo miały czemu przeszkadzać.

Spojrzałem na zegarek. Była 22:15 i już miałem zakląć na spóźniający się autobus. Ten pojawił się jednak w oddali, zupełnie jakby na moje osobiste zawołanie.

- Mam nadzieję, że nie wyczerpałem limitu urodzinowych życzeń na dzisiaj. – powiedziałem cicho do siebie, wchodząc do środka.

Wewnątrz autobusu nie było dużo osób. Właściwie znajdowały się tam tylko dwie dziewczyny, które na moje oko miały jakieś piętnaście lat. Ich ubiór mocno

wskazywał, że są ofiarami niemożliwego połączenia – modowych wskazówek z instagrama oraz budżetu własnego kieszonkowego. To nigdy się nie udaje.

Usiadłem blisko nich i z nudów zacząłem się przysłuchiwać prowadzonej rozmowie. Chuda blondynka trochę zbyt głośno opowiadała swojej jeszcze chudszej koleżance najnowsze szkolne plotki. Po chwili jej głos wszedł na jeszcze wyższe rejestry i z niesamowicie rozbudowaną gestykulacją rąk mówiła, że Tomek i Ala od tygodnia się całują i chodzą za ręce, ale, jak to zaznaczyła całkowitą zmianą intonacji, nie są ze sobą. Mimowolnie się uśmiechnąłem.

- Później ludzie robią ze sobą dużo gorsze rzeczy i też nie są razem. – pomyślałem, a niewinny i szyderczy uśmieszek nie schodził z mojej twarzy przez dłuższą chwilę.

Nastolatka cały czas kontynuowała swoje szkolno-miłosne rewelacje. Tym razem nie mogła zrozumieć, dlaczego Paulina nie zerwała z Damianem, skoro odwiedził swoją byłą i pożyczył jej zeszyty z matematyki. Naprawdę nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem donośnym śmiechem, co nie uszło uwadze dziewczyn, które przez moment wpatrywały się we mnie zmrużonymi oczyma. Odwzajemniłem uśmiech, wciąż podtrzymując swoje zdanie z odrobiną zmienioną końcówką. Później ludzie robią dużo gorsze rzeczy i wciąż są ze sobą.

Dziewczyny wysiadły dwa przystanki przed moim, a gdy drzwi od autobusu zamknęły się, jedna z nich uroczyście pożegnała mnie środkowym palcem. Kolejny raz odwzajemniłem uśmiech, lecz dodatkowo poczułem się strasznie staro. Już prawie zapomniałem czasy, kiedy w ten sam sposób rozwiązywałem problemy z przemądrzałymi dorosłymi.

W czasie, który pozostał do mojego przystanku, włączyłem telefon i słuchałem odgłosów nadejścia kolejnych wiadomości tekstowych. Gdy mój Samsung w końcu zamilkł, stwierdziłem, że naprawdę kocham funkcję „Usuń całą skrzynkę odbiorczą”.

Przeszedłem przez w połowie oszklone drzwi, a następnie machnąłem ręką do portiera, którym dzisiaj był Królik. Był on grubo po pięćdziesiątce i miał fryzurę na starego fana punk-rocka, czyli zbyt wygolone boki i za bardzo zostawiona góra. Klasyczny mullet lub jak kto woli – czeski piłkarz. W oczy rzucała się też jego nadwaga, czego odzwierciedleniem był ogromny brzuch, który tym razem był całkiem nieźle ukryty pod biurkiem. Jego przezwisko „Królik” było dosyć przewrotne, ponieważ wzięło się od tego, że użębienie Królika nie zawierało dwóch górnych jedynek. Legenda głosi, że było to spowodowane otwieraniem browarów. Nie mam pojęcia czemu, ale jestem w stanie w to uwierzyć.

Po dwóch miesiącach mieszkania w akademiku, wszyscy portierzy mniej więcej mnie kojarzyli, więc nie musiałem już za każdym razem pokazywać karty mieszkańca. Królik uniósł tylko wzrok i ignorując moje machnięcie, nacisnął przycisk, otwierając drugie drzwi. Najwyraźniej nie miał dzisiaj humoru, co może było spowodowane brakiem wymarzonego prezentu od św. Mikołaja. Sam nie wiem.

Przecież moje dzisiejsze Mikołajki też aktualnie wygrywały konkurs na „Najgorsze Mikołajki w roku”.

Ruszyłem schodami ku górze, ale zatrzymałem się i usiadłem na półpiętrze między pierwszą, a drugą kondygnacją. Nie chciałem jeszcze iść do pokoju, bo musiałem w godny sposób rozpocząć swoje małe, urodzinowe świętowanie. Wyciągnąłem z wilgotnej kieszeni kurtki trzy bułki cebulowo-czosnkowe. Nie mam pojęcia czemu, ale naprawdę kocham bułki cebulowo-czosnkowe i od ponad dziesięciu lat szczerze marzyłem, żeby zjeść je we własne urodziny. Było to jednak trochę skomplikowane, ponieważ od ponad dziesięciu lat spędzałem je ze swoją dziewczyną, a ten rodzaj bułek był według niej na samym szczycie listy z serii urodzinowych produktów zakazanych.

Trzy kęsy później mocno chuchnąłem i upewniło mnie to w przekonaniu, że przez najbliższe cztery godziny jestem odporny i na wampiry i na dziewczyny. Nie wiedziałem tylko, na co bardziej.

Po pochłonięciu wszystkich bułek poczułem dziwne ukłucie w brzuchu. Ale nie było to ukłucie spowodowane połączeniem czosnku i cebuli. Raczej takie, które mam zawsze, gdy nie wiem dokładnie co mam dalej robić. Nawet najlepsza wróżka w mieście gdyby mnie zobaczyła, powiedziała by, że w swojej wróżbiarskiej kuli widzi jedynie pomroczność cieniastą. I byłaby to najlepsza, możliwa przepowiednia. Po chwili przypomniałem sobie, że jak byłem mały i przeżywałem jedną z tragedii ery podstawówki, moja mama przychodziła do mnie do pokoju i mówiła, żebym położył rękę po lewej stronie klatki piersiowej. Następnie pytała, czy słyszę jak bije mi serce. Po moim skinięciu głową, dodawała, że to dlatego, bo mam jeszcze dużo wielkich rzeczy do zrobienia. Może to banalne, ale zawsze mi to pomagało.

Teraz, kilkanaście lat później też położyłem rękę po lewej stronie i po chwili wyczułem trochę zbyt szybkie bicie serca, spowodowane pewnie lekkim nadciśnieniem, wynikającym z mojego trochę zbyt intensywnego temperamentu i kilku zbyt tanich piw w ostatnim tygodniu. Wciąż trzymając rękę w tej samej pozycji, zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Trzymaj się, bo mamy kilka naprawdę wielkich rzeczy do zrobienia.

Duży plakat z siedzącym Kurtem Cobainem, który zaciąga się papierosem, prawie zakrywał numer mojego pokoju - 319. Minęły już dwa miesiące, a ja wciąż do końca nie przyzwyczałem się ani do tych drzwi, ani do samego pokoju. Po dziesięciu latach mieszkania w jednym miejscu, przeprowadzka do akademika sprawiła, że czułem się jakbym codziennie budził się w innym świecie. Mało osób zdaje sobie z tego sprawę, ale o tym czy dane miejsce wydaje nam się znajome, nie decydują wcale meble, dekoracje i tego typu sprawy, ale zapachy. Czasami nawet nie można stwierdzić czy dany pokój ma jakiś zapach, ale na szczęście lub może na nieszczęście, zawsze go ma. Z tego powodu całkowite zaaklimatyzowanie w akademiku bywa takie trudne, ponieważ występuje tutaj niemal zapach

na zapachu, a połączenie zapachu (odoru?) średnio drogich perfum, zepsutej szynki i końcówki czosnkowego sosu do pizzy pachnie naprawdę bardzo uroczo. Oczywiście to tylko bardzo delikatny przykład z wielu nieskończenie możliwych bukietów zapachowych akademika. I słowo bukiet jest chyba tutaj całkowicie nie na miejscu.

Szybko nacisnąłem klamkę i po chwili znalazłem się we wnętrzu pokoju, ale zdziwiło mnie, że w środku było zupełnie ciemno. Trzeba pamiętać, że w akademiku jest tylko jedna sytuacja, kiedy jest całkowicie ciemno: nie ma prądu. Naprawdę nie wiem czemu, ale zawsze istnieje choćby najmniejsze źródło światła, lecz jak to mówią: „najciemniej jest przed samym świtem”, a w tym przypadku można było powiedzieć, że „najciemniej (i najciszej) jest przed samą imprezą”. Kiedy zacząłem kierować swoją ręką do włącznika, ktoś mnie ubiegł, a tym kimś był Tołdi.

- Niespodzianka Miki. - krzyknął. – Właśnie zaczynamy twoją urodzinową imprezkę sponsorowaną przez centralny oddział domu starców. Nowa seria imprez pod nazwą „Swoi dla swoich”.

Mimowolnie się uśmiechnąłem, a następnie rozejrzałem po pokoju, lecz było to dosyć trudne z powodu zbyt dużej liczby osób, jak na miejsce o powierzchni 15 metrów kwadratowych. Jedno krótkie pytanie. Boże jak stwarzałeś świat, nie mogłeś ustanowić powierzchni standardowego pokoju studenckiego na 100 metrów? Skąd mam mieć pewność, że w Niebie będzie lepiej?

Nie miałem jednak zbyt dużo czasu na rozmyślanie o wyposażeniu hotelowym Nieba, ponieważ natychmiast doskoczył do mnie Tołdi, trzymając w ręku butelkę wina z doczepioną do niej wielką kokardą.

- Drogi staruszkule Miki. Chcielibyśmy ci wszyscy tutaj zgromadzeni życzyć, żeby kolejny rok twojego życia był tak niesamowity, żeby sam Szatan chciałby cię po nim adoptować.

Mój błąd. Powinienem się raczej zorientować co do wyposażenia hotelowego Piekła. Jednak znowu nie miałem zbyt dużo czasu na rozmyślanie, ponieważ momentalnie wszyscy zaczęli wrzeszczeć tak głośno, że przez chwilę poczułem się jak gwiazda rocka po ostatnim bisie na stadionie Wembley. Ta szczęśliwa chwila została niestety przerwana przez podniesioną rękę Tołdiego, który chciał zapewne coś dodać do swoich skąpych, ale jakże wymownych życzeń.

- Tutaj mam skromny prezencik od wszystkich. – zaczął Tołdi, naprzemiennie patrząc to na butelkę, a to na mnie. – Od razu chciałbym zaznaczyć, że wino miało być trzydziestoletnie, ale wiemy jak bardzo nie lubisz tej liczby, dlatego wybraliśmy nieskażony czasem rocznik bieżący. – powiedział, zbyt mocno akcentując słowo „bieżący” albo może „nieskażony czasem”, po czym szeroko się uśmiechnął.

Tołdi był studentem trzeciego roku architektury i jak każdy normalny student miał bardziej 20 niż 30 lat. Jego ksywa Tołdi, prawdopodobnie wzięta się od małego zielonego Ogra z bajki o Gumisiach i pochodziła podobno z czasów pierwszej liceum, kiedy Tołdi był najniższy z chłopaków w całej szkole, mając niecałe 165 cm wzrostu. Wszystko zmieniło się jednak w czasie wakacji, kiedy Tołdi urosł 20 cm. Można powiedzieć, że jego hormon wzrostu wziął bardzo długie przedłużenie sesji,

ale kiedy osiągnął te swoje wymarzone 185 cm, jego akcje na giełdzie kobiecej wyobraźni nabrały na wartości. Wygląd Tołdiego reprezentował typ urody zwany - chłopak z sąsiedztwa. Półdługie kręcone włosy i duże oczy mogły go nawet zaprowadzić na opakowanie płatków śniadaniowych, a nieschodzący z twarzy szeroki uśmiech wzbudzał bardziej pożądanie matek, zamiast córek, które w czasach liceum zazwyczaj bardziej wolą tych złych, niż dobrych chłopców. Jednak na studiach wygląd na chłopaka z opakowania płatków śniadaniowych jest dużo bardziej pożądany. Zupełnie jakby dziewczyny były już w stanie sobie wyobrazić swoje przyszłe dzieci pochłaniające te płatki przed wyjściem do szkoły. Dlatego aktualnie Tołdi był w drużynie wybierających, a nie wybieranych, bo gdybym ja sam był kobietą, też chciałbym się umówić z gwiazdą płatków śniadaniowych.

Patrząc na wszystkich, którzy znajdowali się w pokoju, pomyślałem, że w tej sytuacji mogę zrobić tylko jedną rzecz. Podniosłem do ust otwarte w międzyczasie przez Tołdiego wino i wziąłem dużego łyka. Jednak cały czas panowała dziwna i niezręczna cisza, jakby wszyscy czekali, na jakieś magiczne zaklęcie.

- No to zaczynamy. – powiedziałem i do 5 rano zapomniałem, że coś takiego jak cisza, w ogóle istnieje.

Trzeci raz w ciągu dziesięciu minut otworzyłem drzwi do pokoju, lecz tym razem bez żadnych przeszkód mogłem położyć się na łóżku.

- Jestem z ciebie taki dumny Miki. – rzekł Tołdi, zmieniając właśnie pozycję z leżenia na brzuchu, na leżenie na plecach.

- Naprawdę? – spytałem i biorąc z niego przykład, też wybrałem pozycję leżenia na plecach.

- Odprowadziłeś wszystkie trzy nie do końca żywe osoby do swoich pokoi. Masz naprawdę największe złote serduszko jakie znam.

- Jutro zgłosimy cię do pokojowej nagrody Nobla. – wtrącił bełkotliwie Profesor, który nie wiadomo czemu siedział pod stołem i starał się właśnie otworzyć ostatnie pozostałe piwo.

- Profesor, po co ty siedzisz pod tym stołem? - spytałem, lekko przekręcając się na łóżku, żeby zobaczyć jego nierówną walkę z kapslem na oszronionej butelce Prazubra niepasteryzowanego. Właśnie. Chyba jeszcze nie wspominałem, że kilka dni temu udało mi się załatwić wielką lodówkę - zamrażarkę, która teraz zajmowała bardzo zaszczytne miejsce w naszym pokoju. I dzielnie mroziła piwo oraz inne trunki.

- Chcę tu spędzić resztę życia. Tutaj jest tak bezpiecznie. – odpowiedział jeszcze bardziej bełkotliwie Profesor.

- Weź go zostaw Miki. – powiedział lekko podniesionym głosem Tołdi. – On nawet nie będzie tego później pamiętać.

- Takie stwierdzenia kuszą mnie do robienia złych rzeczy.

- Jasne. Powiedz mi, co można Profesorowi zrobić złego, żeby tobie sprawiło to jakąkolwiek przyjemność.

- Masz rację. – westchnąłem.

Profesor był na przedostatnim roku informatyki, a naukowa ksywa była następstwem jego geniuszu lub obeerzenia zbyt wielu odcinków serialu „Dom z papieru”. Jego średnia oscylowała wokół maksymalnej, dlatego był brany za lekkiego dziwaka, ale organizowane przez Tołdiego imprezy nie mogły się odbyć bez jego wiedzy i obecności. Krótkimi słowy Profesor, mimo że naprawdę wiele czasu poświęcał na pisanie swoich komputerowych programów, wiedział, że reset nie oznacza tylko przycisku w komputerze. Jego wygląd też raczej nie przejawiał symptomów stereotypu informatyka. Ubierał się wyłącznie w sklepie internetowym Zalando, tłumacząc to tym, że oprócz naprawdę fajnych ciuchów, UX i UI ich strony internetowej to czysta poezja, a linijki kodu, w którym cała aplikacja została napisana, to miód na jego programistyczne serce. Nawet niedawno był na wykładzie zespołu programistów z Zalando i mogę postawić nawet kilka piwek, że po skończeniu studiów, jego CV i portfolio zostaną wysłane właśnie tam.

- Miki chcesz dostać drugą pokojową nagrodę Nobla? – zapytał nagle Tołdi.

- No co jest? - mruknąłem.

- W moim brzuchu toczy się wojna pomiędzy piwem, a whisky i pokój na froncie mogą zapewnić tylko gorące frytki przyrządzone przez dzisiejszego solenizanta.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu. Była 5:15.

- Od ponad pięciu godzin nie jestem już solenizantem.

Tołdi tylko się uśmiechnął.

- Zawsze tak się czepiasz szczegółów? Mało dziwne, że dziewczyna rzuciła tak upierdliwego trzydziestolatka.

- Wtedy miałem dwadzieścia dziewięć.

- Wydaje mi się jednak, że mogła przeczuwać, że będziesz mieć te trzydzieści.

- Tak. Przeżywałem ją Nostradamus.

- Nostradamus by przewidział, że zerwie z kimś za 11 lat, więc nawet by nie zaczynał.

- Naprawdę kocham cię Tołdi za takie miłe słówka.

- A ja ciebie nie. Ale może zmienię zdanie za talerz gorących i skwierczących od oleju frytek.

- Dobra. Wygrałeś, bo przez twoje gadanie też trochę zgłodniałem. Zaraz to ogarnę.

- Miki?

- Co?

- Chyba cię kocham. – powiedział Tołdi, a następnie zaniósł się głośnym śmiechem. – Ale nie mów nikomu. Będziemy taką wirtualną parką.

- Czyli nici z przedstawiania rodzicom?

- Takiego starucha?

Tym razem ja też się roześmiałem i powoli zacząłem zwlekać się z łóżka, co było dość utrudnione przez mój stan, który mógłbym nazwać początkową fazą trzeźwienia, a jak powszechnie wiadomo początki są najlepsze, ale tylko z dziewczynami. Obracając powoli głowę, rozejrzałem się po pokoju szukając jakichś większych zniszczeń. Na szczęście wszystko wyglądało na typowy bałagan poimprezowy. Wszędzie porzucane butelki, pogaszone papierosy w dziwnych miejscach i strasznie brudna podłoga. Wszystko było aż tak normalne, że nawet trochę mnie uspokoiło. Przed otwarciem lodówki, musiałem jeszcze przetransportować Profesora spod stołu do jego łóżka. Czy tylko mi przypomina zadanie z fizyki zaczynające się od zdania - „załóżmy, że siła grawitacji jest dziesięć razy większa”?

Złapałem Profesora za lewą rękę, bo prawa dalej mocno ścisnęła butelkę z połową złoto-płynnej zawartości, mimo że on sam już całkiem mocno spał. Nabyte odruchy są naprawdę nieprzewidywalne. Kiedy udało mi się go w końcu wypchnąć spod stołu, nagle otworzył oczy i powiedział:

- Miki, moja głowa już czuje zbliżającego się kaca.

- Nostradamus II się kurde znalazł. Twoja głowa jest teraz bardziej znieczulona niż pacjent pod narkozą. – odpowiedziałem, próbując postawić go na nogi, lecz nie można tak łatwo oszukać grawitacji. Na szczęście po chwilowej szamotaninie udało mi się położyć Profesora na łóżku w pozycji, która w lekkim stopniu przypominała pozycję boczną ustaloną. Wyciągnąłem jeszcze piwo z jego zaciśniętej dłoni i w kilka sekund dopiłem je do końca.

- Opłata transportowa pobrana. – szepnąłem do siebie, a następnie powiedziałem Tołdiemu, że musi mi wytatuować na plecach logo DHL albo innej firmy kurierskiej z dodaną moją twarzą. Obaj z Tołdim zaczęliśmy śmiać się tak głośno, że nawet Profesor obudził się na chwilę i burknął coś w języku zbyt pijanych ludzi, czyli w prawdziwym Esperanto. Po chwili nasz pokój przeszło głośne burczenie brzucha Tołdiego.

- Mój brzuch chyba właśnie sobie o czymś przypominał. – rzekł, zmieniając swoją pozycję z leżącej na opierającą się o ścianę.

- Że jego właściciel jest krypto alkoholikiem?

- Bardzo śmieszne. W dodatku nieprawdziwe, bo jakoś szczególnie się z tym nie ukrywam. Ale żeby nie było niejasności Miki, to przypominam: fryteczki, fryteczki. - Tołdi niemal zanucił dwa ostatnie słowa.

- Żebym ja ci robił jedzenie w swoje własne urodziny. W dodatku trzydzieste.

- Z tego co pamiętam to nie jesteś już solenizantem.

- Ktoś coś wspominał o czepianiu się szczegółów?

- Twoja dziewczyna?

- Naprawdę jesteś zabawny.

- Nigdy nie jestem zabawny, jak jestem głodny.

- Słyszałeś o czymś takim jak tygodniowa głodówka? Było by tak....
zabawnie.

- Dobra Miki. Ja naprawdę nie chcę żebyś był szefem kuchni z Hilton Hotel, tylko żebyś odsmażył mi zamrożone frytki, które były najtańsze w pobliskiej Biedronce. Gdybyś miał dziewczynę i zrobił jej takie danie z okazji własnych urodzin, czy tam 5 godzin po własnych urodzinach, nawet nie chciała by z tobą gadać. A ja wiesz... będę cię za to uwielbiać.

Po krótkim namyśle przyznałem mu rację, a następnie ruszyłem w stronę lodówki, przedzierając się przez pole minowe stworzone z pustych butelek po piwie lub jakimś mocniejszym alkoholu. Po otwarciu lodówki, powitały mnie trzy gołe półki. Nie było to trudne do przewidzenia. Wszystko co było w jakikolwiek przydatne do spożycia, zostało przeznaczone na moją imprezę urodzinową. A dodając do tego fakt, że przez nasz pokój przewinęła się prawdziwa fala ludzi, nasza lodówka musiała dzisiaj polubić wolną przestrzeń pełną rześkiego powietrza. Jednak po otwarciu małej zamrażarki, która znajdowała się na samej górze, moim oczom ukazało się opakowanie, zawierające podobno 1 kilogram karbowanych frytek, chociaż według mnie te frytki nigdy nie widziały czegoś takiego jak 1 kilogram. Nie mogłem wybrzydzać, bo było to jedyne, aktualnie istniejące jedzenie w naszym pokoju.

Lekko drżącą ręką nalałem pół patelni oleju i wsypałem do niej tak dużo frytek, ile tylko mogło się w niej pomieścić.

- Wyczuwam małą, urodzinową delirkę. - powiedział z nieskrywanym uśmiechem Tołdi.

- Nie słyszałeś, że najlepszy olej to wstrząśnięty, niemieszany?

- Chyba trochę pomyliły ci się filmy. - Tołdi wybuchnął głośnym śmiechem. - Bardziej mi to przypomina - „szef akademikowej kuchni na trzecim piętrze poleca...”.

- „...tanie frytki prosto z pieca” - dokończyłem, wypowiadając to bardziej do siebie i czując lekkie zażenowanie z poziomu suchości tego żartu.

- Nurtuje mnie jeszcze jedna rzecz – rzekł tym razem z dziwną powagą Tołdi, jednocześnie prostując się na łóżku i całkowicie ignorując mój wcześniejszy słaby dowcip. - Czy ty przypadkiem nie wspominałeś ostatnio, że masz jutro, to znaczy dzisiaj, to znaczy za trzy i pół godziny kolokwium z mechaniki ogólnej.

- Chyba właśnie bardzo zwiększyłem limit mojego dziennego przeklinania. - odparłem niemal natychmiast, zastanawiając się po chwili, czy ja w ogóle mam jakikolwiek limit dziennego przeklinania. - Masz jakiś pomysł? - spytałem kilka sekund później, patrząc błagalnym wzrokiem na Tołdiego. Mógłbym dodać, że 3,5 godziny przed kolokwium na które się nic nie umie, wzrok każdego studenta właśnie tak wygląda.

- Idź wstaw te frytki i wróć tutaj. Ja już zdążę coś wymyślić. - odpowiedział Tołdi, jednocześnie szukając czegoś w swoim biurku.

- Wiesz, że jak je wstawię i od razu wrócę to mogą wyjść dość mocno przypalone?

- Jestem tak głodny, że naprawdę ciepły węgiel też będzie w porządku.

Tylko się roześmiałem i nie namyślając się zbyt długo, chwyciłem patelnię oraz frytki i cały czas uważając na walające się wszędzie butelki, wyszedłem

z pokoju. Korytarz z dwoma migającymi świetlówkami przypominał swoim klimatem obie części gry Max Payne, a ciągle trwająca noc oraz padający za oknem pierwszy śnieg tylko wzmacniał ten świąteczny efekt w stylu noir.

Kiedy spojrzałem w prawo, momentalnie poczułem na twarzy mroźny podmuch wczesnego grudniowego powietrza, co było spowodowane otwartymi na oścież drzwiami balkonowymi. Wietrzenie korytarza przy około -2 stopni Celsjusza może po pijaku wydawało się być genialnym pomysłem, jednak wraz z trzeźwieniem ten pomysł stawał się coraz mniej uroczy. Próbując jedną ręką zamknąć te nieszczęsne drzwi balkonowe, bo w drugiej trzymałem patelnię, zdałem sobie sprawę, jak bardzo nie lubię zimy. Tak w ogóle każdej zimy wypominam mamie, czemu nie jest surferką z Kalifornii, która swojemu dziecku zamiast wózka kupuje deskorolkę, a zamiast trójkółowego rowerka, deskę do surfowania. Słyszałem, że w Kalifornii słowa „mama” jest dopiero trzecim, którego uczy się dziecko, zaraz po „dobre” i „fale”. Zwrot „Dobre fale, mama” to chyba najpiękniejsze pierwsze słowa, jakie może wypowiedzieć dzieciak, który dopiero co nauczył się mówić. Po chwili stwierdziłem, że jednak nie mam czasu na takie rozmyślenia i udałem się w kierunku kuchni, która była oddalona od naszego pokoju o jakieś 10 metrów. Gdy byłem już w środku, zorientowałem się, że mimo zgaszonego światła, ktoś się tutaj znajduje. Większy cień przy oknie oraz mała jasna kropeczka, wskazująca na palonego papierosa, powodowały, że nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby stwierdzić, że ktoś urządza sobie tutaj nocne „gotuj z Batmanem”.

Po zapaleniu światła, postać stojąca przy oknie okazała się chłopakiem, mającym na oko 22 lata. Nagłe przejaśnienie spowodowało w nim przymusowe zmrużenie oczu, więc na zadanie jakiegokolwiek pytania pozostało trochę czasu. Na razie korzystałem z chwilowej przewagi, zanim jego oczy przyzwyczają się do ostrego światła i starałem przyjrzeć mu się trochę uważniej. Jego czarne włosy układające się w artystyczną fryzurę zespołów indie-rockowych w połączeniu z aż za bardzo przystojną twarzą i ciemną karnacją, gwarantowały mu dużo większą niż moja, skuteczność w spotkaniach na jedną noc.

Dopiero gdy całkowicie otworzył oczy i poprawił włosy wyuczonym ruchem ręki, zauważyłem, że poniżej swojego lewego oka oraz nad skronią, ma świeże ślady po uderzeniu. Zwłaszcza nad skronią nie wyglądało to zbyt dobrze, chociaż stwierdzenie „nad skronią” było zbyt dużym uogólnieniem. Rana rozpościerała się od prawej strony głowy, a kończyła się niemal na środku czoła. Wyglądało to, jakby ktoś z całej siły uderzył go nie tą stroną siekiery, lub może właśnie tą właściwą, bo chciał go tylko ogłuszyć. Czyż poranne spotkania w akademikowej kuchni nie bywają romantyczne?

Nie zamierzałem jednak patrzeć na poturbowanego nieznajomego jak Rose na Jacka w ostatniej scenie Titanica, więc postanowiłem przerwać tę niezręczną ciszę.

- Ciekawe miejsce i pora na regenerację. – zagadnąłem, jednocześnie ustawiając maksymalną moc na kuchence elektrycznej.

- Nie mam dzisiaj nastroju na rozmowy. – przemówił po dłuższej chwili nieznajomy, a tembr jego głosu nie do końca pasował do jego wyglądu. Wydawał się

być stanowczo za niski, a przypominało to niemal sytuację, gdy przed chwilą poznana piękna dziewczyna rzuca niewinne „cześć” głosem Leonarda Cohena.

Już chciałem powiedzieć, że siedzenie z rozwaloną jedną piątą twarzy o 5:30 w akademikowej kuchni i w dodatku przy zgaszonym świetle, faktycznie nie zachęca do rozmowy. Jednak nieznajomy ubiegł moje stwierdzenie, rzucając w moją stronę swój telefon, który szczęśliwie, lecz z małymi problemami udało mi się złapać. Spojrzałem na komórkę, która wyglądała na jeden z najnowszych modeli Samsunga i zacząłem obracać go w dłoniach.

- Przeczytaj ostatniego esemesa. – powiedział nagle nieznajomy, jednocześnie sięgając po kolejnego papierosa. Dopiero teraz zauważyłem, że ma on ubrane rękawiczki, co trochę mnie rozbawiło.

- Palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła? - rzekłem z szerokim uśmiechem.

- Jakbyś nie zauważył, jest tutaj trochę zimno. – odpowiedział, wskazując niezapalonym jeszcze papierosem na otwarte za sobą okno.

- Promile jednak trochę grzeją, więc nie od razu się zorientowałem. Zresztą tutaj nie ma takiego przeciągu jak na korytarzu. Tam by nawet te twoje rękawiczki nie pomogły.

- Dobra, przeczytaj tego ostatniego esemesa, to zrozumiesz czemu nie chce mi się gadać.

Już chciałem powiedzieć, że naprawdę bywa miłutki, ale w końcu porzuciłem ten pomysł, bo nie chciałem go już denerwować. Po chwili dotarłem do skrzynki odbiorczej i otworzyłem ostatnią wiadomość, której nadawczynią była niejaka Julia.

- „Przepraszam, że przez esemesa” – zacząłem czytać na głos. – „...Ale nie umiem powiedzieć ci tego w twarz. To koniec.”

Spojrzałem znowu na nieznajomego, którego mina mówiła teraz - „widzisz czemu nie mam nastroju na żadną rozmowę?”

- Ememesa mogła wysłać, w dodatku z jakimś filmikiem. – wypaliłem nagle i sądziłem, że może trochę przesadziłem z tym tekstem, bo był to naprawdę straszliwy suchar, lecz nieznajomy tym razem szeroko się uśmiechnął.

Wielu ludzi twierdzi, że pierwsze 5 minut przy poznawaniu nowego człowieka jest kluczowe w tym, jak będzie cię on postrzegał na dalszym etapie znajomości. Zazwyczaj nieznajomi są nastawieni do siebie neutralnie lub gdy rozmówcami są osoby przeciwnej płci i gdy jedna z nich jest piękną kobietą albo przystojnym mężczyzną, ten brzydszy rozmówca nastawiony jest aż nadto pozytywnie. Czasami zdarza się, że nieznajomymi osobami są równocześnie piękna kobieta i przystojny mężczyzna, lecz wtedy mają oni za nic te przysłowiowe 5 minut i już po dwóch minutach pada pytanie „U ciebie czy u mnie?”. Oczywiście tę ostatnią sytuację słyszałem tylko w legendarnych opowieściach akademików Adonisów. I w dodatku było to zawsze po kilku piwkach.

Moje spotkanie z nieznajomym w kuchni było specyficznym przypadkiem, gdzie byliśmy nastawieni do siebie dość negatywnie. Go rzuciła dziewczyna, mnie czekało kolokwium, na które nic nie umiałem. W dodatku po imprezie z okazji

trzydziestych urodzin. On siedział po ciemku w kuchni, żeby przemyśleć parę spraw, a ja się do niej wpadłem z gracją pijanego studenta, zapalając światło i trzymając w ręku patelnię wypełnioną karbowanymi frytkami, które pływały w tanim oleju. W sumie frytki też były tanie. Ale to najmniej ważne. Jak widać, byliśmy skazani na nie lubienie siebie nawzajem. W takich sytuacjach jedynym rozwiązaniem jest zdanie kotwica rzucone przez jednego z rozmówców, które rozładuje negatywne napięcie. W tym przypadku takim zdaniem był mój tekst o tym, że Julia powinna wysłać ememesa zamiast esemesa. I mimo że był to naprawdę szczerzły suchar, o dziwo zadziałał.

Uśmiech nieznajomego potraktowałem w ten sposób, że w końcu mogliśmy przejść na „ty”.

- Mikołaj. Ale większość mówi na mnie Miki. – powiedziałem, wyciągając rękę w jego kierunku.

- Krystian. – odpowiedział już nie nieznajomy, odwzajemniając uścisk dłoni.

- Powiedz mi w takim razie Krystian, co ty o tej godzinie robisz w akademiku w takim stanie. – zapytałem, wskazując palcem na ranę na głowie. – W ogóle chyba tutaj nie mieszkasz, bo jakoś nigdy wcześniej cię nie widziałem.

Oczywiście nie musiało to oznaczać niczego szczególnego. Każdego dnia, a tym bardziej nocy można było się tu natknąć na osoby, które widziało się po raz pierwszy i często po raz ostatni. Dziesięciopiętrowy akademik z trzydziestoma pokojami na każdej kondygnacji naprawdę tworzył przedziwny ekosystem ludzi znających się mniej lub bardziej.

Krystian wzruszył ramionami.

- Nie myśl, że chce tu siedzieć. Piłem z kumplami na mieście z wiadomej przyczyny, a jak wracaliśmy 20 minut temu, napadli nas jacyś goście i wyszło na to, że uciekając, musieliśmy się rozdzielić. Za mną pobiegło dwóch, a za nimi trzech. Uratowała mnie ta zabawka. – odrzekł Krystian, rzucając w moją stronę pistolet, który wyjął z środkowej kieszeni kurtki. Z małymi problemami, ale szczęśliwie udało mi się go złapać.

- To prawdziwa broń? – spytałem z lekkim przerażeniem, obracając pistolet Krystiana w dłoniach, tak jak wcześniej jego telefon.

On tylko głośno się roześmiał.

- To atrapa Glocka 17. Na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia. Ale dużej krzywdy raczej nim nie zrobisz, bo to po prostu pistolet hukowy.

Odruchowo odetchnąłem, bo przez chwilę myślałem, że skoro kilka godzin temu skończyłem trzydzieści lat, los daje mi dosyć jasne sygnały, co mam teraz zrobić. Na szczęście odgoniłem wizję banalnego samobójstwa w trzydzieste urodziny i z wymuszonym uśmiechem oddałem pistolet.

- A co z twoimi kumplami? Udało im się uciec?

- Właśnie nie mam pojęcia. Nie mogę się do nich dodzwonić, więc pomyślałem, że poczekam na nich w akademiku, bo tutaj mieszkają, tylko nie znam ani numeru pokoju, ani nawet dokładnego piętra. Z tego co mówili, to chyba trzecie

albo czwarte, więc czekałem przy schodach, a teraz na chwilę wpadłem tutaj na papierosa. Myślałem, że o tej porze nikt nigdy tutaj już nie gotuje.

- Uwierz mi, że w akademiku słowo „nigdy” nie istnieje. A jak nazywają się ci twoi kumple, bo może ich kojarzę.

- Adam Dobrowolski i Kacper Sikora. Są na pierwszym roku budownictwa, więc wątpię, że ich znasz.

Faktycznie ich nie kojarzyłem. Przez chwilę chciałem nawet powiedzieć, że też jestem na pierwszym roku, tylko że architektury, ale mimowolnie ugryzłem się w język. Jakoś nie przychodziło mi łatwo mówienie obcym, że jestem na pierwszym roku studiów. Chociaż obcym jak obcym, już czekam na zaproszenie na zjazd absolwentów mojego liceum. Już widzę te rozmowy. „- Co robisz Miki? - A wiesz, jestem na pierwszym roku architektury. - O fajnie. Moja firma szuka właśnie praktykantów”.

A portier bez problemu wpuścił cię do akademika? - dopytałem Krystiana.

- Właśnie miałem szczęście. Gdy przyszedłem, to spał i kiedy zapukałem w szybę, to nawet nie otworzył oczu i wpuścił mnie do środka.

- No tak. Królik raczej nigdy nie będzie pracownikiem miesiąca. – rzekłem, po czym obaj wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

Nasza rozmowa toczyła się już w miarę luźnej atmosferze, więc postanowiłem przejść do tematu, który wydawał mi się być gwoździem programu.

- A tych śladów na twarzy to dorobiłeś się podczas swojej wielkiej ucieczki?

- Byłem dzisiaj u Julii i się z nią pokłóciłem.... Dosyć mocno. – dodał po dłuższej chwili Krystian.

- No jak ja miałem dziewczynę, to też czasami się kłóciłem na ostro, ale nigdy nie kończyło się to zabawą w stylu sado-maso.

Nie masz czego żałować.

- Za późno. Już jestem smutny.

- Nie żartuj sobie.... Tak jakoś wyszło. Dostałem trzy razy wałkiem od ciasta. – powiedział Krystian, lekko się czerwieniąc. Faktycznie nie był to jakiś wielki powód do dumy, bo trzeba przyznać, że jego nocne „Gotuj z Batmanem” wychodziło mu dużo lepiej niż „Gotuj razem ze swoją dziewczyną”. Nie chciałem już kontynuować tego niezręcznego tematu, ale też nie musiałem się jakoś specjalnie zastanawiać nad jego zmianą, bo nagle telefon Krystiana odezwał się utworem U2 – „Hold me, Thrill me, Kiss me, Kill me”, który pochodził z soundtracku filmu „Batman Forever”. Wszędzie ten Batman. Co za przedziwny zbieg okoliczności.

- To Julia. – powiedział Krystian, patrząc na ekran telefonu. – Dasz mi chwilę? – zapytał, a z jego wzroku można było wyraźnie wyczytać, że chce zostać sam.

- A będziesz co 5 minut przekładał mi frytki. – spytałem, patrząc na patelnię, na której właśnie zaczął wrzeć olej.

- Ok. Nie ma sprawy.

Szybko podałem Krystianowi łypatkę, która leżała obok kuchenki.

- Wróć za około 15 minut, więc po tej rozmowie albo będziesz znowu Romeo dla swojej Julii, albo będziesz musiał dalej szukać swoich zaginionych kumpli. - Tak,

tak Miki raper to właśnie ja. Czy czołowi producenci w kraju mają zapisany mój numer? Uśmiechnąłem się w myślach z własnego słabego żartu, starając się nie zwracać uwagi na Krystiana, któremu dogadanie się ze swoją wkurzoną dziewczyną na pewno trochę zajmie, szybko wymknąłem się z kuchni.

Kiedy otworzyłem drzwi do pokoju, napotkałem lekko wkurzone spojrzenie Tołdiego.

- Czy nasza gwiazda smażenia frytek urządziła sobie nocne spotkanie z fanami, którzy zaraz po spotkaniu wszystko zjedli? – zapytał ironicznie, chyba specjalnie używając słowa „frytek”, by podkreślić brak patelni z frytkami w moim ręku.

- Powiedzmy. – odparłem, wzruszając ramionami i szybko streściłem to, co zdarzyło się w kuchni. Specjalnie mnie nie dziwiło, że mina Tołdiego wskazywała na coraz większe niedowierzanie z każdym kolejnym zdaniem.

- Mówię ci Miki, to jakiś psychol. – zaczął. - Niby tej rany na twarzy dorobił się od własnej dziewczyny uzbrojonej w wałek od ciasta?

- Sam nie wiem. Moja mama też jest bardzo podenerwowana, kiedy gotuje. Wtedy czasami wystarczy jakaś niegroźna sprzeczka i bach...

Tołdi z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Wzruszające. W takim razie nie zapraszaj mnie nigdy do siebie na obiad.

- Żadnego przedstawiania rodzicom? Już nie pamiętasz? - roześmiałem się odrobinę zbyt głośno.

- Naprawdę mnie uspokoiłeś. Najszersze podziękowania. Ale wracając do tematu, to on sprzedał ci jakieś bajki roku, bo jego historia nie trzyma się żadnej sensownej całości. Zresztą nie znam żadnego Adama Dobrowolskiego i Kacpra Sikory, którzy niby mieszkają w tym akademiku. A Tołdi przecież...

- ... zna wszystkich. - dokończyłem.

- Właśnie. Wygrałeś. W nagrodę możesz mi jutro postawić piwo. Ale wiesz, czego się teraz najbardziej boję?

- Czego? - uniosłem brwi.

- Że zostawiłeś go sam z moimi frytkami. Moim ostatnim jedzeniem. Ale w sumie wiesz co? - dodał Tołdi po krótkim zastanowieniu.

Kolejny raz uniosłem brwi.

- Psychole zanim cię zabiją, bywają całkiem milutcy, więc może usmaży te frytki, a dopiero po tym cię zabije. - tym razem Tołdi zaniósł się złowieszczym śmiechem, a mi tym razem pozostało tylko wzruszyć ramionami.

- Dobra. Lepiej powiedz, jaki masz pomysł na uratowanie mojego zaliczenia z kolokwium? - spytałem, czekając 5 sekund po ustaniu nikczemnego rechotu. Tak. Idealnie to nazwałem. „Nikczemny rechot”. Jeśli ktoś ma kapelę death – metalową może się zgłosić po prawa do nazwy. Zapraszam.

Tołdi nic nie powiedział, tylko podał mi około dziesięć kartek A4, które leżały za nim.

- Co to? Mechanika ogólna dla opornych? – spytałem, pobieżnie przeglądając kartki.

- Dla bardzo opornych. – rzekł Tołdi, jednocześnie się uśmiechając.

- Skąd to masz?

- Powiedzmy, że nieprzypadkowo jestem jednym z najlepszych studentów na tej uczelni. Umiem załatwić dużo rzeczy od ładnych dziewczyn ze starszych roczników. Także zacznij to czytać, ale nie zapomnij odebrać frytków od „Pana Psychola”. - Boże. Słowo „frytków” nie przestanie mnie prześladować do końca tygodnia.

Kiedy zabrałem się za czytanie notatek, czułem się jakbym czytał książkę do czarnej magii redagowaną przez dwóch autorów - Gandalfa i Saurona. Dwa sposoby rozwiązania każdego zadania przypominały coś w stylu: „Gandalf zrobił zadanie dobrze, ale Sauron nie zadaje się z Hobbitami, bo mają włosy na stopach, więc robi je inaczej”. I tak w kółko. Nie dość, że musiałem zrozumieć jeden sposób rozwiązania, to zaraz po nim czekał mnie drugi, który w ogóle nie przypominał pierwszego. Gdy w końcu zacząłem w miarę rozumieć drugi, orientowałem się, że nie pamiętam pierwszego. I tak w kolejne kółko. Kiedy zatrzymałem się na czwartej stronie, ze skupienia wyrwało mnie coś, czego nie można pomylić z niczym innym. I coś co na filmach brzmi dużo mniej przerażająco. Odgłos strzelającego pistoletu.

Rozdział 2

„Policja i akademik, czyli bezkonkurencyjna wygrana na najgorszą parę miesiąca”

Przez chwilę zastygliśmy bez ruchu, jakbyśmy zostali przyłapani na czymś złym (to znaczy zbyt dobrym dla nas, zbyt złym dla innych) i mimo że wiedzieliśmy, że trzeba jakoś zareagować, to przez kilka sekund nie byliśmy w stanie poruszyć jakiegokolwiek mięśniem. Oczywiście te kilka sekund dotyczyło tylko mnie i Tołdiego, ponieważ Profesor był już „zastygnięty” od dłuższego czasu. Pierwszy z tego niechcianego paraliżu wyswobodził się Tołdi.

- Może to petarda? – zapytał, ale jego mina wskazywała na całkowicie inny zestaw pytań.

- Jasne... - odrzekłem, zaraz po tym, jak też sam wyszedłem z paraliżu, chociaż nie wiem, czy nie chciałem pozostać w nim trochę dłużej. – Na pewno Święty Mikołaj odpalił petardy na naszym piętrze. – dodałem. – Bo wie, że w Sylwestra nie będzie mieć już siły na taką imprezkę. – Tym razem powiedziałem to trochę aż nazbyt ironicznie.

- Idziemy sprawdzić co się stało? – spytał Tołdi.

Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli bardzo chcesz.

- W sumie każdy powód jest dobry, żeby oderwać się od nauki. W dodatku masz już trzydzieści lat. To może ostatnia szansa by przeżyć coś ekscytującego.

- A co z twierdzeniem, że życie zaczyna się po czterdziestce?

- Powiedz mi, że w to wierzysz.

Obaj głośno się zaśmialiśmy, jednocześnie udając się w stronę drzwi. Korytarz wyglądał całkiem normalnie, jeśli przyjmiemy, że coś takiego jak korytarz w akademiku może wyglądać całkiem normalnie. Nie było tutaj żywej duszy, więc odgłos wystrzału potraktowaliśmy jako fałszywy alarm.

- Może przez to, że jesteśmy jeszcze trochę pijani, nasz wzrok się pogorszył, ale zmysł słuchu się wyostrzył. – powiedział Tołdi, szukając jakiegokolwiek w miarę logicznego wytłumaczenia.

- Powiedz mi, że w to wierzysz. – odparłem i kolejny raz głośno się zaśmialiśmy.

- Dobra, Miki. Chodź, odbierzemy chociaż te frytki, bo może przez to, że jesteśmy głodni, mamy jakieś halucynacje.

- Ta wersja podoba mi się dużo bardziej. – odpowiedziałem i szybko ruszyliśmy w stronę kuchni. Kiedy przekroczyliśmy jej próg, nasz paraliż sprzed kilku minut powrócił, tylko że razy trzy. Albo nawet cztery. Zresztą co ja mówię.

Powrócił razy 666, czyli zupełnie jakby sam Szatan zaprosił nas na romantyczną kolację we troje.

Na podłodze leżał Krystian z bardzo widocznym problemem. Z bardzo okrągłą dziurą w głowie. Czy naprawdę nigdy nie wspominałem, że jak byłem mały wolałem kwadraciki od kółek?

Chociaż tym razem trwało to trochę dłużej, udało nam się w końcu kolejny raz wyjść ze stanu zwanego „paraliż”. Tołdi cały czas przyglądał się na zmianę - to patelni z przypalającymi się frytkami, to głowie Krystiana z bonusową kropeczką. Najwyraźniej bardzo potrzebował jakiejś bramki numer trzy. Postanowiłem jednak przerwać ten konkurs i zdjąłem patelnię z kuchenki, a całą zawartość wysypałem do zlewu. Mimo to Tołdi chciał grać dalej i patelnię z frytkami zamienił na leżący obok prawej dłoni Krystiana pistolet.

- Nie wiem czy to kłamstwo czy niedomówienie... – zacząłem najspokojniej, jak umiałem. - Ale Krystian mi powiedział, że ten pistolet to atrapa Glocka 17, po prostu pistolet gazowy.

- To faktycznie lekkie niedomówienie. - odparł bez emocji Tołdi, wciąż wpatrując się w bardzo dobrą atrapę Glocka. Tak dobrą, że aż działającą.

- Dobra, ja dzwonię na policję. - powiedziałem, wybierając na telefonie 997. Po karetkę raczej nie było sensu, bo nie wydaje mi się, żeby w podręczniku o reanimacji był rozdział „Co robić, gdy ktoś ma dziurę w głowie?”. Miki – geniusz medycyny sądowej. Tak. To właśnie ja.

- Chyba potrzebuję browara. - wydukał Tołdi, przykładając przedramię do ust, pewnie po to, żeby powstrzymać wymioty. Najwyraźniej jego promile we krwi stwierdziły, że jest ich za mało, by przetrwać aktualną sytuację.

- Ale po dzisiejszej imprezie chyba nie mamy już żadnych piw w pokoju. - niemal westchnąłem.

- Mam skitrany czteropak za łóżkiem. - odparł beznamietnym głosem Tołdi. - Chcesz też?

- Jak mógłbym odmówić ? – odpowiedziałem, jednocześnie przyglądając się zwłokom Krystiana i wybierając numer policji, czyli numer na który nie powinno się dzwonić. Zwłaszcza na urodzinowym afterparty.

Zanim się dodzwoniłem, Tołdi zdążył już wrócić i wepchnął mi otwarte piwo do lewej dłoni. Słuchając kolejnego sygnału, wziąłem naprawdę porządnego łyka i w momencie, gdy go przełknąłem, odezwała się policyjna dyspozytorka.

- Policja, oddział Poznań, słucham. - odezwał się kobiecy głos dyspozytorki.

- Dobry wieczór albo już nawet dzień dobry. – zacząłem. – Chciałbym zgłosić samobójstwo. – dopowiedziałem po chwili, tę bardzo romantyczną końcówkę. Zdawałem sobie sprawę, że ton mojego głosu brzmi niepoważnie. I nie byłem pewny, czym to jest spowodowane. Wątpię, że alkoholem. Tołdi mimo że starał się zachować spokój, wyglądał na przerażonego i zszokowanego. Zapewne były to pierwsze zwłoki

samobójcy, jakie widział. Moje zresztą też. Być może to przez mój wiek? W ciągu trzydziestu lat byłem już świadkiem tylu gównianych sytuacji, że zwłoki samobójcy, którego poznałem dosłownie kilka minut temu, nie robiły na mnie chyba takiego wrażenia jak powinny. Przez głowę przebiegła mi też myśl, co tu się stanie za kilkanaście minut, gdy zejdzie się tutaj pół mieszkańców akademika. Oczywiście nie sprowadzi ich tutaj odgłos wystrzału pistoletu. Większość osób zapewne się nawet nie obudzi. Gdy chcesz normalnie wysypiać się w tym miejscu, naprawdę zwiększasz tolerancję na przeróżne odgłosy. Disco-polo o głośności 120 decybeli z podkreśnionym do granic możliwości basem dla mieszkańca akademika brzmi jak ledwo słyszalny szum morskiej bryzy. Albo drapanie po plecach.

- Na pewno nie robi pan sobie żartów? Naprawdę mamy wystarczającą liczbę takich telefonów od pijanych nastolatków. - głos dyspozytorki był taki, jak powinien. Oszły i stanowczy. Coś jak znienawidzona ciocia na Wigilii podczas dzielenia się opłatkiem. Naprawdę zaczynałem czekać, aż zacznie mi życzyć samych szóstek w szkole i bycia grzecznym dla rodziców.

- Naprawdę. To niestety nie jest żart. - powiedziałem równie oschle i stanowczo, wypuszczając powoli powietrze. - Właśnie patrzę na zwłoki osoby w akademikowej kuchni, który ma ranę postrzałową w głowie. A obok jednej ręki leży pistolet.

Dodałem jeszcze, że z tego co mi wiadomo, niedawno rzuciła go dziewczyna.

- Pana dane i adres?

Westchnąłem w myślach. Nie byłem specjalnym fanem podawania swoich personaliów policji, bo mając trzydzieści lat, już doskonale zdawałem sobie sprawę, że będą tam widnieć do końca mojego życia.

- Mikołaj Zarzeczny, mieszkam tutaj w akademiku. To jest dom studencki numer 5 przy ulicy św. Rocha 11a. Kuchnia na trzecim piętrze.

Dyspozytorka spytała jeszcze o kilka rzeczy, czy na pewno osoba nie żyje, czy sprawdzałem puls, czy znałem ofiarę. Typowe pytania przy takich zgłoszeniach, żeby upewnić się, że to na pewno nie są żarty. Zapewne takie telefony były plagą wszystkich telefonów alarmowych, zaczynając od pytań o wybór pomiędzy apapem a ibupromem dzwoniących na karetkę pogotowia, a kończąc na zgłoszeniach policji kradzieży pięciu złotych przez kolegę z klasy.

- Dobrze panie Mikołaju. Niech Pan czeka przy tej kuchni, a ja wyślę patrol.

Usiedliśmy z Tołdim na korytarzu, opierając się plecami o ścianę i przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie, tylko powoli piliśmy piwo. Dopiero teraz zauważyłem, że trzęsą mi się ręce, a piwo z powodu nagromadzenia nerwów, smakuje jak woda. Co za całkowite marnotrawstwo.

- Strzeliłbyś byś sobie w łeb przez dziewczynę? – spytałem nagle Tołdiego, bo denerwowała mnie już ta niezręczna cisza, przerywana tylko przez kolejne pociągane łyki najpopularniejszego alkoholu świata.

- Tylko przez Ciebie Miki. – odpowiedział z uśmiechem Tołdi, odstawiając na podłogę pustą butelkę, jednocześnie wyciągając z foliowego czteropaków kolejne piwo.

- To było szczere pytanie. – naciskałem.
- Wiesz co powiedział mi kiedyś dziadek? Jeśli rzuci Cię dziewczyna, musisz dokonać takich rzeczy, żeby żałowała swojej decyzji do końca życia. Uwierz, że raczej samobójstwo nie jest jakimś wielkim życiowym sukcesem.

- Fajnego masz dziadka.

- No raczej. Za trzy tygodnie bierze ślub z żoną numer pięć. Ciekawe kogo tym razem wynalazł ten stary playboy. No ale nieważne. Chociaż ważne. Będę mieć kolejną babcię, która będzie mogła mnie wspomagać finansowo. Czekolady z nadzieniem stuzłotowym i te sprawy. Ale wiesz co jest w tym wszystkim najgorsze?

- Że ta twoja babcia numer pięć może być w twoim wieku?

- Naprawdę jesteś zabawny Miki. Ale teraz chodzi mi o coś innego. Cały czas mam przeczucie, że ktoś pomógł temu Krystianowi się zabić. Nie uważasz, że to nie dziwne, że nie zjadł tych naszych frytek. Gdybym ja był na jego miejscu, zjadłbym całą patelnię frytek, w ogóle się nie przejmując, że jem w nocy najbardziej niezdrowe żarcie świata. No może jedno z najbardziej niezdrowych. Rozumiesz? Takie frytki light.

Nie wiem, czy Tołdi miał rację, ale widać było, że próbuje poradzić sobie z tą sytuacją swoim poczuciem humoru. Wychodziło mu to czasem przyzwoicie, czasem trochę mniej.

- Jesteś teraz głodny? – spytałem, unosząc jedynie prawą brew.

- Tak szczerze, to trochę straciłem apetyt.

- No właśnie. On pewnie też nie myślał o jedzeniu, patrząc prosto w lufę.

Tołdi nie zdążył mi już odpowiedzieć, bo usłyszeliśmy dość szybkie kroki na schodach, które po chwili zamieniły się w dwóch policjantów. Była to może niezbyt miła metamorfoza, lecz tym razem mnie ucieszyła, bo naprawdę chciałem już zakończyć mój debiut znajdowania samobójcy w kuchni. Policjanci nie mieli na sobie mundurów, lecz z połączenia ich sposobu chodzenia i pewności siebie można było wywnioskować, że to albo mafia, albo policja. Niepotrzebne skreślić, jak to mówią w urzędach.

Zanim pokonali odległość dzielącą schody od kuchni, zdążyłem się im całkiem dokładnie przyjrzeć. Obaj policjanci znacznie różnili się od siebie. Starszy z nich, wyglądający na około 50 lat, miał wyraźną nadwagę, co znacząco odbijało się na jego twarzy. Była ona niemal idealnie okrągła i gdybym miał obliczyć jej powierzchnię, wzór na pole koła, czyli πr^2 w zupełności by wystarczył. Natomiast drugi z policjantów prezentował się na około trzydziestkę, czyli wszystko wskazywało na to, że oprócz 50-letniego pączka, będzie mnie przesłuchiwać także mój rówieśnik. Uroczę urodziny.

- To wy znaleźliście tego samobójcę? – spytał młodszy, patrząc bardziej na mnie niż na Tołdiego, który właśnie brał najdłuższego łyka piwa na świecie, żeby okazać jak bardzo kocha policję i jak bardzo chce mu się z nimi rozmawiać.

- Tak. Leży w kuchni za tymi drzwiami. – odpowiedziałem, pukając pustą butelką w przymknięte drzwi kuchni.

- Znaliście go? – kontynuował swoje pytania młodszy z policjantów, patrząc na mnie, całkowicie ignorując Tołdiego.

- Nie znałem go, ale rozmawiałem z nim chwilę w kuchni. Maksymalnie jakieś 10 minut. - odparłem, a policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego.

- Jestem detektyw Leon Muszyński, a to mój partner Krzysztof Kurtyka. – powiedział policjant rówieśnik, wskazując na swojego partnera.

- Mikołaj Zarzeczny, a to mój współlokator Mateusz Łukasik. – odpowiedziałem, trochę przedrzeźniając Leona, ponieważ wykonałem identyczny ruch ręki, kiedy wskazywałem na Tołdiego.

- Dobra. W takim razie trzeba zobaczyć naszą gwiazdę wieczoru, a później wezwać techników i prokuratora. – rzekł Leon, a następnie wszedł do kuchni. Krzysztof Kurtyka nie podążył za nim, tylko cały czas świdrował nas wzrokiem. Zapewne w jego osobistym podziale ludzi znajdowaliśmy się na samym dole tej listy, chociaż nietrzeźwi studenci w akademiku o 6 rano nie byli chyba ulubieńcami kogokolwiek. Niezręczna cisza nie trwała jednak długo, ponieważ Leon po krótkiej chwili wrócił do nas i wyciągnął papierosa.

- Trzeci trup w tym tygodniu. Jak ja mam przestać jarać? – powiedział bardziej do siebie niż do nas, a następnie odpalił papierosa zdezelowaną zapalniczką, którą wyjął z kieszeni.

- Wezwij techników i wóz od zwłok. – zwrócił się po chwili do Krzysztofa, który nadal był zajęty obserwowaniem mnie i Tołdiego z wyraźną nienawiścią w oczach. Jednak sądząc po jego gabarytach być może przerwaliśmy mu konsumpcję porannego kebaba. Tak. Takich zbrodni się nie wybaczają. - Technicy i tak muszą sprawdzić, czy to nie zabójstwo upozorowane na samobójstwo. - dodał Leon. - Pieprzone kryminały tworzą pieprzone procedury. Nam powiedziano, że zgłosiliście samobójcę, którego rzuciła dziewczyna. To prawda? – zapytał, tym razem zwracając się do mnie, a następnie zaciągnął się już prawie samym filtrem.

- Tak mi powiedział Krystian. Później zadzwoniła do niego ta świeżo-była dziewczyna, to wyszedłem, żeby mu nie przeszkadzać.

- A jak go znalazłeś to nie trząśłeś nim za bardzo? Nie chce, żeby przy sekcji zwłok jakiś syf wyszedł.

Już chciałem powiedzieć, że od razu się przytuliłem i leżałem tak 10 minut, ale wydusiłem z siebie tylko ironiczne „jasne”. Naprawdę mogłem jeszcze dodać, że podziwiałem tylko z daleka.

- Powiedz mi jeszcze, skąd on ma te siniaki na twarzy?

Uniosłem brwi. Leon musiał mieć naprawdę duże doświadczenie ze zwłokami, bo zdołał dostrzec te ślady przysłonięte w dużej części przez zaschniętą krew.

- Stwierdził, że dziewczyna uderzyła go wałkiem od ciasta. - tak, moja odpowiedź brzmiała właśnie tak głupio, jak może się każdemu wydawać.

- Uderzyła? - głos Leona był tak zdziwiony, że gdyby nadal miał w ustach papierosa, ten leżałby już dawno na ziemi.

- Parę razy uderzyła. - mój głos był nadal... jakby to ująć - głupi.

- Ok, sprawdzimy to. - rzekł ze zrezygnowaniem Leon. Widać było, że niezbyt wierzy w tę historię. Pozostało mi tylko wzruszyć ramionami.

- Dobra. – dodał Leon. - Opowiesz mi to wszystko na komendzie, bo i tak trzeba wyczarować jakiś raport.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- Czy ta część z komendą jest na pewno konieczna? Wiem, że może nie brzmi to przekonująco o tej godzinie, ale mam trochę rzeczy do zrobienia.

- Masz jeszcze kilka browarów do wypicia? – wyraźnie zakpił Leon, sięgając po kolejnego papierosa.

- Mam kolokwium za niecałe trzy godziny. I muszę się wszystkiego nauczyć w..... właśnie te niecałe trzy godziny.

Leon tak szeroko się uśmiechnął, a papieros, który miał w ustach, powinien już dawno z nich wypaść, jednak jakaś nieznana siła cały utrzymywała przy dolnej wardze. Nałogowi palacze to prawdziwi magicy.

- Dam ci takie zwolnienie, że studenci przed egzaminem by się o nie zabili. Pasuje?

- A mam inne wyjście?

- Nie. Właśnie dlatego pytam. Pasuje?

- Pasuje, ale przyrzekam, że nigdy już nie będę rozmawiać z nikim w kuchni po północy.

Leon głośno się zaśmiał, a ten moment rozluźnienia wykorzystał Tołdi, który spytał się, czy jest nadal potrzebny. Po uzyskaniu informacji, że nie, bo tylko ja wystarczę na komendzie, życzył mi dobrej imprezy (żartowniś). Następnie pobiegł truchtem w stronę pokoju, robiąc co jakiś czas krótkie przystanki na łyk piwa. Naprawdę nie wiem, jak można go nie uwielbiać. Po chwili stwierdziłem, że sam też muszę wrócić do pokoju, bo mój strój składający się z czarnej koszulki z logo Metallici i bokserek z bohaterami South Park średnio nadawały się na aktualne grudniowe powietrze. Leon kazał mi się streszczać, a później powiedział dokładnie to samo technikom przez telefon. Trochę nieumiejętnie ominąłem Krzysztofa, który chyba naprawdę nas nienawidził. Za tego przerwane go. Jestem pewny.

Kiedy dotarłem do końca korytarza, odwróciłem się na chwilę, bo obok kuchni właśnie pojawili się technicy. Zaczęli rozwijać wokół drzwi kuchni tę taśmę znaną z filmów sensacyjnych, żeby nikt nie wkraczał do strefy miejsca zbrodni. Trzeba będzie ją później ukraść i użyć przed jakimś naprawdę nudnym wykładem. Oczywiście wokół wejścia do kuchni zaczęli też się schodzić inni mieszkańcy akademika, bo tak jak przewidywałem, nikt nie przejął się odgłosem strzelającego pistoletu, ale niebieskie światła radiowozu odbijające się w oszronionych szybach okien miały bardzo przyciągającą moc.

Gdy wszedłem do pokoju, Tołdi siedział na swoim łóżku i jadł pistacje, popijając je swoim ostatnim, trzecim piwem. Chociaż kto to wie, ile on ma tych czteropaków za łóżkiem.

- Na czarną godzinę zostawiłem. Dopiero mi się przypomniało. – rzekł, gdy trochę zdziwionym wzrokiem obdarowałem jego prawie poranny posiłek.

- Nie mogłeś chcieć tych pistacji zamiast frytek? To by trochę zmieniło moje plany na dzisiejszy poranek.

- Chciałem coś na ciepło.

- No i dostałeś kogoś na zimno.

Jednocześnie wzruszyliśmy ramionami, co mnie trochę rozbawiło, ale stwierdziłem, że ranek na komendzie po imprezie urodzinowej nie brzmi w sumie tak źle. Oczywiście gdyby wyciąć z tego wszystkiego samobójcę z kuchni.

Ubrałem się jak najszybciej i kiedy już miałem się odwrócić w stronę drzwi, kątem oka dostrzegłem notatki z mechaniki ogólnej, leżące na moim łóżku. Zdałem sobie sprawę, że w taki oto sposób moje zaliczenie z kolokwium poszło... na dwa . Chociaż inaczej mogłem dokończyć to zdanie.

Wziąłem jeszcze od Tołdiego kilka pistacji na drogę, a następnie nacisnąłem klamkę, żeby pójść do policjantów i pojechać z nimi na komendę.

No dobra. Czy mi się tylko wydaje, czy to nie brzmi trochę dziwnie, jak na studenta? Bo Clint Eastwood nigdy by nie poszedł na coś takiego.

Rozdział 3

„Komenda policyjna, czyli moje osobiste zwiedzanie Piekła.”

Leon stał przy schodach i kiedy mnie zobaczył, machnął do mnie ręką, żebym poszedł za nim, a sam ruszył na dół. Nie zauważyłem nigdzie Krzysztofa, ale pewnie budka z fast-foodem po drugiej stronie ulicy nie potrzebowała zbytniego marketingu, by go zainteresować. Machnięcie policjanta też niestety nie potrzebuje zbytniego marketingu, więc przyspieszyłem kroku i po krótkiej chwili byłem już na dole. W portierni Królik oglądał jakiś serial w ogóle nie zwracając uwagi na nic dookoła. No tak. Ludzie giną, ale serial trzeba obejrzeć. Każdy chyba zna to z własnego doświadczenia, chociaż może w nie w tak drastyczno-dramatycznej wersji.

Powietrze na dworze było dosyć zimne i na tyle rześkie, żebym nie mógł pomylić tych dość nieprzyjemnych, ale niestety bardzo rzeczywistych zdarzeń sprzed niecałej godziny z jakimś koszmarnym snem, z którego miałbym się za chwilę obudzić. Była już prawie 6:30, więc słońce zaczynało się nieśmiało wyłaniać zza horyzontu i prawdopodobnie chciało rozpocząć kolejny dzień. Niestety dla mnie poprzedni się jeszcze nie skończył i musiało minąć trochę czasu, zanim miało do tego dojść.

Leon stał obok srebrno-niebieskiego radiowozu, którym była Kia Ceed i chcąc być wiernym swojemu nałogowi, palił kolejnego papierosa. Po chwili z prawej strony nadbiegł zdyszany Krzysztof z ogromną, mimo że już mocno nadgryzioną, zapiekanką, która miała na sobie chyba wszystkie możliwe dodatki. Zabawne. Krzysztof przekroczył dietę 1000 kcal jeszcze przed siódmą rano. Ale jak to mówią, Bóg bardzo niesprawiedliwie rozdaje talenty.

Kiedy stanąłem obok samochodu, Leon otworzył tylne drzwi i z gestem niezbyt wytwornego lokaja zaprosił mnie do środka.

- Rozgość się. – rzekł z zbyt dużą nutką ironii, dogaszając jednocześnie końcówkę papierosa na dachu samochodu.

- Chciałbym powiedzieć „nie trzeba”, ale to chyba nic nie zmieni. – odparłem, cały czas stojąc przed otwartymi drzwiami. Podróż na komendę wciąż była na samym końcu moich świątecznych marzeń.

- Masz rację. To nic nie zmieni, ale nie przejmuj się. Też nie lubię tym jeździć.

- Powinieneś dostać jakiś order z zakresu pocieszania innych.

Leon szeroko się uśmiechnął.

- Szczerze to mało mnie to obchodzi. Chce mi się spać, a czeka nas jeszcze trochę pracy przy spisywaniu raportu. Więc albo wchodzisz do środka, albo będę musiał zapalić kolejnego papierosa, co bardzo mnie zdenerwuje, bo właśnie rzucam.

Stwierdziłem, że faktycznie nie ma co przedłużać, bo według mojej mamy, ludzie rzucający papierosy to najgroźniejsi ludzie na świecie. Dlatego jeśli było to w ogóle możliwe, próbowałem się rozgościć na tylnym siedzeniu. Wiem, że może zabrzmiało to trochę jak z taniego filmu dla dorosłych.

Podróż na komendę odbyła się w praktycznie absolutnej ciszy. Zupełnie jak syndrom dziesiątej randki, ciągle bez całowania. Tylko co jakiś czas dało się usłyszeć jakieś wezwania przez radio, lecz za każdym razem przejmował to jakiś inny patrol.

Z nudów spoglądałem przez okno, za którym rozpościerał się śnieżno-biały krajobraz Poznania, a całkiem już mocne promienie słońca odbijały się od śniegu, trochę mnie oślepiając. Od razu skojarzył mi się z tym tytuł utworu Deftones, „My Own Summer”. Jedynym problemem było to, że był niemal początek zimy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, moim oczom ukazał się masywny, trójkondygnacyjny budynek, a widniejąca na nim tablica - „Komisariat Policji, Poznań Stare Miasto” raczej nie zachęcała do robienia sobie przed nią turystycznych zdjęć.

Po wyjściu z samochodu, musieliśmy razem z Leonem poczekać na Krzysztofa, którego wydostanie się z auta wiązało się z serią chyba czterdziestu ruchów, które musiały być idealnie zgrane i skoordynowane w czasie. Nieśmiało przewiduję, że następny złoty medal z gimnastyki artystycznej na olimpiadzie należy do niego.

Hol komendy miał dla mnie tak przytłaczający klimat, że na początku zrobiło mi się nawet trochę duszno. Jego wystrój zdecydowanie zatrzymał się w czasie przed 1989-ym i od razu można było zauważyć, że budynek potrzebuje natychmiastowego remontu. Obdrapane ściany i meble pamiętające głęboki komunizm być może miały powodować strach pośród przesłuchiowanych przestępców, jednak u zwyczajnych świadków takich jak ja, wzbudzały tylko niepokój i lekkie odrętwienie.

- Chcesz kawy? – spytał nagle Leon, wyrывая mnie z pseudo architektonicznych rozważań.

- Może być. Byle z mlekiem. – odparłem, starając się już więcej nie zwracać uwagi na wystrój wnętrza.

- Czyli nie chcesz kawy, tylko kakałko – roześmiał się Leon, a następnie ruszył w głąb komendy.

Podążając za nim, minęliśmy pseudo recepcję, a następnie schody prowadzące do kilku cel, gdzie doba hotelowa trwała zazwyczaj 48 godzin z możliwością przedłużenia do 72-óch. Później odbiliśmy w prawo i po pokonaniu długiego i wąskiego korytarza znaleźliśmy się w małym, ciemnym pokoju, który w całym swoim życiu wchłonął zdecydowanie za dużo papierosowego dymu.

- Usiądź tutaj. Ja zaraz przyniosę kawę. – rzekł Leon, wskazując jedno z dwóch krzeseł, które były tak zniszczone, że gdybym miał wybrać te w gorszym stanie, nie mógłbym się zdecydować. Leon zanim wyszedł, włączył jeszcze leżącego na stole

laptopa, którego głośno chodzący wentylator, był chyba jedyną rzeczą, która tworzyły jakikolwiek ruch powietrza w tym pomieszczeniu.

Wzięłem głębszy wdech, lecz było to wręcz równoważne z zaciągnięciem papierosem, ponieważ panowała tutaj mała, papierosowa mgła. Dodając do tego nadchodzącą kawę, czekało mnie sławne połączenie „kawa + papieros”, czyli wszystko zaczynało się prawie tak jak w filmach. Nie wiem dlaczego, ale miałem przeczucie, że będę musiał jeszcze trochę poczekać do radosnego happy-endu.

Po kilku minutach wrócił Leon, trzymając dwa duże kubki. Oba były tak mocno sfatygowane, że nie byłem w stanie określić, jakie grafiki znajdowały się na ich zewnętrznej stronie. Dobrze, że wewnątrz było na razie wypełnione kawą, bo mogę się tylko domyślać, jak się prezentowało.

Po kilku głębszych łykach może nie czułem się jak nowonarodzony, wciąż czułem ostatki alkoholu leniwie przepływające przez moje żyły, ale bez wątpienia mój pasek życia zwiększył się o kilka procent.

- No dobra. Zaczynajmy, bo w końcu muszę wrócić do domu. – rzekł Leon, rozprostowując palce na klawiaturze komputera. W jakieś 15 minut opowiedziałem mu zdarzenia zeszłej nocy, starając się najlepiej wszystko opisać i nie pomijać żadnych istotnych faktów. Leon zapisywał wszystkie moje słowa, nie zadając na razie żadnych pytań, jakby nie chciał wybijać mnie z rytmu, który i tak był już dosyć połamany.

- I ty na pewno nigdy wcześniej nie widziałeś tego Krystiana? – zapytał Leon, dopijając kawę w swoim kubku, który tak jak się spodziewałem, od wewnętrznej strony potrzebował jakiegoś środka do odrdzewiania rur. Zwrot „mocna kawka” natychmiast nabrał nowego znaczenia.

- Nie mignął ci ten Krystian nigdy na korytarzu? – kontynuował Leon. – Na uczelni, mieście, gdziekolwiek?

- Nie. Dzisiaj w nocy widziałem go pierwszy raz. Pierwszy i ostatni, jak się okazało.

- Faktycznie wasza znajomość nie należała do najdłuższych. - Leon głośno się roześmiał, jednocześnie się przeciągając i ziewając, co wytworzyło całkiem zabawny odgłos. Następnie z powrotem nachylił się nad komputerem i zaczął na głos czytać moje zeznania. Poczułem się niemal jak gwiazda, która autoryzuje swój wywiad.

- Podpiszesz to? – spytał, wyglądając już na naprawdę zmęczonego. Skinąłem głową, że się zgadzam, bo to co mi przeczytał, nie różniło się zbytnio od tego, co powiedziałem kilka minut wcześniej.

- Dobra, daj swój dowód osobisty, spiszymy dane, złożysz autograf i pójdziemy do domu.

Zacząłem grzebać w portfelu i po krótkich poszukiwaniach wyciągnąłem swój dowód, a następnie podałem go Leonowi. Patrzył na niego przez kilka sekund, a po chwili z niedowierzaniem zapytał.

- Ty chcesz mi powiedzieć, że jesteśmy rówieśnikami? I że ja pracuję w policji, a ty mieszkasz w akademiku? Powiedz mi, gdzie na tym świecie została jeszcze jakaś sprawiedliwość?

Wzruszyłem ramionami i w skrócie opowiedziałem mu o mojej dziwnej sytuacji bycia studentem pierwszego roku w wieku trzydziestu lat, chociaż już trochę zaczęła mnie irytować każdorazowa konieczność tłumaczenia się z tego.

Po wprowadzenia wszystkich danych do komputera, po mojej lewej stronie zaczęła trzeszczeć drukarka, która po około minucie wyrzuciła z siebie trzy gęsto zapisane kartki A4. Byłem trochę zawiedziony, że nie ma żadnej mojej fotki, no bo co to za wywiad z gwiazdą bez żadnego zdjęcia? Już miałem pod tym wszystkim złożyć swój podpis, bo przeboleiałem jakoś ten brak zdjęcia, gdy telefon Leona odezwał się tanią melodyjką midi.

- Zaraz będę. – powiedział Leon, a następnie odwrócił się w moją stronę. – Gruby... To znaczy Krzysztof dzwonił i podobno ma dla mnie coś ciekawego. Zaraz będę z powrotem.

Westchnąłem tylko, bo myślałem, że zaraz będę mógł sobie pójść, a przerwały to jakieś policyjne ciekawostki. Gdy po kilku minutach Leon wrócił, łatwo można było stwierdzić, że te policyjne ciekawostki znacznie pogorszyły jego humor. Nagle rzucił w moją stronę mały przedmiot w plastikowym woreczku, który w trakcie swojego krótkiego lotu skojarzył mi się z kartą kredytową, jednak gdy wylądował na stole, okazał się zwykłym dowodem osobistym. Zwykłym, bo pieniędzy tym się nie wypłaci, czyli absolutnych brak jakichkolwiek supermocy.

Na zdjęciu od razu rozpoznałem Krystiana. Miał może trochę inną fryzurę, ale bez wątplenia był to Krystian. Zresztą każdy na zdjęciu w dowodzie ma „trochę inną” fryzurę. Gdy przesunąłem wzrok odrobinę w prawo, w miejscu gdzie znajduje się imię i nazwisko, litery układały się w napis „Alan Świderski”.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w plastikowy kartonik, próbując się skoncentrować i zrozumieć o co w tym wszystkim chodzi. Przecież imienia Alan nie można pomylić z imieniem Krystian. Jest między nimi dużo większa różnica, niż pomiędzy smakiem Pepsi, a Coca-Coli. Chociaż wiem, że dla niektórych to różnica warta życia i śmierci.

- Jest jeszcze coś. - kamiennym głosem odezwał się Leon. Po tych słowach wyjął z teczki, która dopiero co teraz zauważyłem, jedną kartkę A4.

- To bardzo wstępny raport z sekcji naszego Krystiana vel Alana, dosłownie sprzed kilku minut. Patolog stwierdził, że zgon nastąpił około tej godziny, kiedy zadzwoniłeś na policję, czyli wszystko prawie by się zgadzało, oprócz tego, że zgon był spowodowany uderzeniem tępym przedmiotem w głowę, a nie strzałem... w tę samą głowę. Podobno po tej stronie, gdzie była rana, czaszka była tak dziwnie strzaskana, że ostre kawałki wbiły się w mózg. Na pierwszy rzut oka nie było tego widać, bo nasz pseudo-samobójca miał dosyć długie włosy.

- Ale chodzi ci teraz o to uderzenie wałkiem przez Julię?

- Ty tak twierdzisz.

- To znaczy?

- Wiesz, że technicy zdążyli już sprawdzić telefon Krystiana-Alana-nie-wiadomo-kogo? I wiesz co wyszło?

- Co takiego?

- Że nie mieli czego sprawdzać. Przy tym Alanie, ani w kuchni nie znaleziono żadnego telefonu.

Lekko zakręciło mi się w głowie. Zrozumiałem do czego zmierza Leon. Moje zeznania pękały od bezsensu niczym za mocno napompowany urodzinowy balon przez pijanego wujka. Uderzenie wałkiem w głowę przez swoją dziewczynę. Naprawdę? Nawet średnio rozbagniany przedszkolak wymyśliłby coś lepszego. Jakieś bajeczki o esemesach od dziewczyny i rana na głowie, która później dziwnym trafem okazuje się śmiertelna. Telefon oczywiście mógł ktoś ukraść, lecz chyba istnieje choćby jakiś minimalny złodziejski kodeks, mówiący o tym, że zmarłych się nie okrada. No chyba że jest się sprawcą zostania zmarłym tego właśnie zmarłego, a w telefonie znajduje się kilka esemesów, które mogłyby troszkę przyspieszyć śledztwo.

Zmrużyłem oczy. Było mi na przemian gorąco i zimno. Moje zeznania nie trzymały się teraz logicznej całości, mimo że były prawdziwe.

- To teraz jestem niby jednym z podejrzanych? – zapytałem podenerwowanym głosem.

- Nie jesteś jednym z podejrzanych. Jesteś jedynym podejrzanym. Bo wiesz co jest w tym wszystkim najlepsze? - Leon brzmiał na równie zdenerwowanego, ale nic już nie odpowiedziałem, tylko bardziej zmrużyłem oczy.

- Na broni z której zeszlifowano numer seryjny, znaleziono tylko jeden typ odcisków. Ale nie należą one do Alana. Skoncentruj się chwilę i pomyśl, kogo mogą być.

Momentalnie zobaczyłem w głowie projekcję w zwolnionym tempie. Alan rzucający mi pistolet. To znaczy wtedy to była jeszcze atrapa pistoletu i koleś nazywał się Krystian. Następna klatka, kiedy obracam pistolet w dłoniach. Później szybkie przewinięcie do momentu, kiedy powiedziałem: „Palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła?”

Spojrzałem na swoje opuszki palców, których linie papilarne były zapewne aktualnie odbite na broni, która zapewniła Alanowi dziurę w głowę, a która to miała świadczyć o rzekomym samobójstwie. Czyli według policji, jeśli to ja byłem odpowiedzialny za upozorowanie samobójstwa, to zapewne miałem też udział w uderzeniu tępym narzędziem w głowę, co spowodowało śmierć Alana.

Zmrużyłem oczy tak mocno, że prawie je zamknąłem, a następnie przełknąłem ślinę, która chyba nigdy nie była taka sucha. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie trzydzieste urodziny.

Rozdział 4

„Zagrajmy w grę, w której nikt nie wygra.”

W głowie zaczynało mi się kręcić dużo bardziej niż jeszcze kilka chwil temu i byłem zmuszony nawet chwycić się stołu, bo wydawało mi się, że zaraz się przewrócę. Wiedziałem, że policja ma w bazie moje odciski palców, ponieważ kilka lat brałem udział w bójce w nocnym lokalu. Cytując Morfeusza z filmu „Matrix”: „Nie wiem, kto zaatakował pierwszy. My czy maszyny.”? Niestety to oni byli maszynami, ponieważ to oni mieli do czynienia z jakimiś maszynami z siłowni, a my niestety nie bardzo. Gdybym w ostatniej chwili nie roztrzaskał butelki od piwa na głowie jednego z osiłków, moja rola w tej bójce ograniczyłaby się do nic nie znaczącego epizodu zakrwawionego statysty. Mimo że tym sposobem zdobyłem kilka punktów dla mojej drużyny, później i tak wróciłem do roli zakrwawionego statysty z przedłużeniem kontraktu na zdjęcie odcisków palców.

Spojrzałem na swoje dłonie, które mocno się trzęsły. Moja odporność na stres była dużo niższa niż u transplantologa wykonującego operacje na otwartym sercu, a w dodatku nikt mnie nigdy nie nauczył, jak mam się zachować przy oskarżeniu o niepopelnione zabójstwo. Chyba kiedyś dopiszę taki rozdział na końcu książki „Wychowanie dziecka w dziesięciu krokach”. Bonusowo - „Propozycje prezentów-niespodzianek przy odwiedzinach dziecka w więzieniu.”

Zakląłem w myślach wszystkimi możliwymi przekleństwami, jakie znam, tworząc przy okazji kilka nowych. Tołdi, czemu ty chciałeś te frytki? Jak stąd wyjdę, to najchętniej bym cię za to zabił, dusząc cię tym opakowaniem od frytek. Chociaż wyjście na przepustkę z wyrokiem za morderstwo może być trochę trudne do załatwienia. I w dodatku recydywa. Zrezygnowany puściłem się stołu, ale w zamian ścisnąłem pięści tak mocno, że paznokciami poraniłem sobie wewnętrzne części dłoni.

- Usiądź. – odezwał się nagle Leon, opierając się o stół.

- Przecież siedzę. – odpowiedziałem najbardziej spokojnym głosem, jaki zdołałem z siebie wydobyć, lecz zapewne krzyczałem głośniejszym, niż na zeszłorocznym koncercie Metallici.

- Mentalnie.

- No pewnie - pomyślałem. Może jeszcze zaraz zamówię sobie hamak, drinka z palemką i od razu zacznę się relaksować. Do tego dorzuciłbym 80-calową plazmę z serialami pokroju „Prison Break” i „Ucieczka z Dannemory”, żeby powoli się edukować, jak skrócić moją długoletnią odsiadkę. Zapewne wyglądałem całkowicie przeciwnie do tego bladego i spokojnego dzieciaka z filmu „Omen”. Może tylko równie często się uśmiechałem.

- Proszę cię, uspokój się. – naciskał Leon.

W odpowiedzi wykrzychałem kilka niezrozumiałych zdań z dużą ilością wulgaryzmów, cały czas podnosząc głośność o kilka decybeli. Małymi kroczkami zbliżałem się do odgłosu startującego Boeinga.

- Zamknij się na chwilę. – tym razem Leon warknął. Natychmiast zapanowała trochę frapująca cisza, a pokój wydawał się drzeć jak po średniej mocy trzęsieniu ziemi. Albo były to tylko moje ręce, które z powrotem chwyciły się stołu. Chyba już wspominałem, że nie byłbym dobrym transplantologiem.

- Powiedziałem ci, że jesteś jedynym podejrzanym, bo to prawda, ale bardzo mnie to denerwuje, łagodnie mówiąc. A wiesz czemu? – rzekł Leon, tym razem aż nazbyt spokojnym głosem i po krótkiej pauzie kontynuował. - Bo wiem, że tego nie zrobiłeś. W swojej pracy zawsze ufam instynktowi i jestem pewny, że zwykłe badanie śladu prochu na dłoniach od razu by cię wykluczyło z listy podejrzanych. Zresztą jeśli ktoś w twoim wieku zaczyna studia i mieszka w akademiku, to ma w głowie raczej tęczę w kolorach piwa i nie jest aż tak głupi, żeby upozorować samobójstwo, zadzwonić na policję i zostawić jedynie swoje odciski palców na pistolecie leżącym obok „samobójcy”. - Leon po tym monologu z wyraźnym gestem zrezygnowania usiadł na krześle, położył nogi na stole i sięgnął po paczkę papierosów, która okazała się pusta, co tylko wyolbrzymiło jego zrezygnowanie.

- Nie mogłeś mi powiedzieć tego od razu? – spytałem z lekkim zakłopotaniem.

- No faktycznie łatwo było się z tobą dogadać. - zaśmiał się Leon, zapewne pijąc do serii moich niezrozumiałych bluzgów sprzed kilku minut. - Musisz się jeszcze chwilę skupić. – tym razem powiedział to całkowicie na poważnie, podsuwając w moją stronę raport z sekcji Krystiano - Alana. – Tak jak ci mówiłem, przyszedł dosłownie przed chwilą.

- Szybko.

- Patolog to mój znajomy. Zrobił poza kolejką i w dodatku to tylko wstępny raport. Na dokładne wyniki będę musiał jeszcze trochę poczekać.

Zaśmiałem się w duchu. Patolog nie jest raczej typem lekarza, u którego ktoś chce się wpychać w kolejkę.

- Ale pamiętaj, że na razie tylko my to widzieliśmy. Nie mogę puścić tego dalej jako zabójstwo, bo od razu byłbyś oskarżonym. Ty gadałeś z tym Alanem, tylko twoje odciski są na broni, jak na razie zero świadków. Nawet gdyby ten twój kumpel powiedział, że byłeś w pokoju, jak padł strzał, to takie alibi można by łatwo podważyć, bo nie dość że był pijany, to przecież to twój kumpel. Kumple robią dla siebie dużo gorsze rzeczy, niż fałszywe zeznania. Nikt by wam nie uwierzył. Rozumiesz? Oczywiście badanie śladu prochu na dłoniach by cię wykluczyło, ale oficjalnie musiałbym cię aresztować, a na wyniki badań trochę byś poczekał. I to w niezbyt miłym miejscu i w jeszcze gorszym towarzystwie.

- A prokurator? Podobno do każdej sprawy samobójstwa przydzielana jest taka osoba. I zapewne zobaczy, że coś tu nie gra.

Leon głośno się roześmiał, jednocześnie kręcąc przecząco głową.

- Chyba naoglądałeś się za dużo seriali Mikołaj. Naprawdę myślisz, że każdy prokurator w tym mieście chce być jeszcze supebohaterskim detektywem? Jeśli powiem mu, że to samobójstwo, to nawet nie ruszy palcem, tylko podpisze papiery.

Głośno wypuściłem powietrze.

- To co teraz? Mogę wrócić do akademika? – spytałem po trochę zbyt długiej chwili.

- Nie możesz, tylko musisz.

Zmarszczyłem czoło.

- Nie no, raczej tam wrócę, bo Hilton nadal nie chce dać mi darmowego pokoju, ale czemu mój powrót do akademika jest dla ciebie taki konieczny?

- Zrobimy tak. – rzekł Leon, splatając ręce. – Ja napiszę raport, że to było zwykłe samobójstwo, a w zamian będziesz moją wtyką.

- Twoją wtyką? – spytałem z niedowierzaniem.

- Tak. Moją wtyką. – powiedział Leon z takim spokojem, jakby do swojej kawy dosypał trzy kilo wyciągu z żen-szenia. Ja za to wpatrywałem się w niego z miną, która była połączeniem zdumienia i chwilowego zawieszenia. Mój mózg naprawdę potrzebował kilkukrotnego wciśnięcia Ctr-Alt-Del. Jednak żaden reset wciąż nie nadchodził, dlatego Leon kontynuował swoim ciągle spokojnym głosem.

- Nie rozumiesz? Nie mogę spłoszyć tego, który to zrobił, a chodząc po akademiku z odznaką w ręce i zadając pytania, rzucałbym się w oczy bardziej niż tanie wino obok Jim Beama. Zabójca musi być przekonany, że wszystko poszło po jego myśli, czyli, że tylko ogłuszył tego Alana, uderzając go w miejsce świeżej rany, a później upozorował samobójstwo. Nie wie, że trochę spieprzył sprawę, bo Alan umarł od uderzenia w głowę, zamiast od dziury w głowie. A uwierz mi, że trup mógłby mieć trochę problem z powtórką swojej własnej śmierci. To nie jest mecz piłki nożnej w telewizji. A jak na razie wszystko wskazuje na ciebie.

- Bardzo nie podoba mi się ta wersja. – wtrąciłem, ale Leon podniósł rękę w geście, żebym mu nie przerywał.

- Ale jak już mówiłem wcześniej, moglibyśmy obalić tę wersję jednym badaniem w laboratorium. Więc teraz na poważnie Mikołaj. Pomożesz mi?

- Daj mi się chwilę zastanowić. Zostały mi jeszcze jakieś koła ratunkowe, czy to już pytanie za milion?

- Nie wkurzaj mnie, bo nie mam już dzisiaj na to czasu. Wchodzisz w to?

- A mam jakieś inne wyjście.

- Nie. Dlatego pytam. Wchodzisz w to?

- Chyba już dzisiaj słyszałem ten tekst. – odpowiedziałem z uśmiechem, a następnie uściśnąłem rękę Leonowi, na znak, że się zgadzam. Zabawne. Jeśli jeszcze 10 godzin temu, ktoś powiedziałby mi, że pójde na ugodę z policjantem, ponieważ większość dowodów będzie wskazywać na mnie w sprawie o morderstwo, którego nie popełniłem, ale ten policjant dobrze o tym wie. Jednakże nie oskarży mnie o nic, bo mam zostać jego wtyką, aby znaleźć prawdziwego zabójcę, a w dodatku moje bycie podejrzanym można byłoby łatwo obalić jednym badaniem, ale wiązałoby się to z kilkunastogodzinnym pobytem w celi, to powiedziałbym tej osobie,

że albo wypła stanowczo za dużo albo stanowczo za mało. Przecież coś takiego jest całkowicie nieprawdopodobne. Zupełnie jakby ktoś twierdził, że w dzieciństwie nie bał się Buki z Muminków.

W dodatku wątpię, że będę w tej sprawie jakoś szczególnie użyteczny. Nawet nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Miałem chodzić po akademiku i pytać się każdego „Hey, nie widziałeś przypadkiem mordercy tego samobójcy w kuchni? Tak wiem, że to było samobójstwo, ale wiesz... jeśli przypadkiem okazałoby się, że to morderstwo, to ja naprawdę chciałbym poznać tego kogoś.” Kurde. Przecież to bez sensu.

- Dobra. – rzekł Leon, rozkładając ręce na stole. – Chcesz tę dwudziestkę czwórke?

- Co takiego?

- No żebyś pokazał temu profesorkowi, czemu cię nie było na kolokwium. Mogę ci wypisać zaświadczenie o 24-godzinym pobycie w naszym ćwierć gwiazdkowym hotelu. Napiszę, że byłeś podejrzanym, ale zaszła pomyłka i musiałem cię wypuścić.

- Nie możesz trochę podkolorować, że kogoś uratowałem i że złapałem jakiegoś złodzieja?

- Chyba obaj chcemy, żeby to brzmiało w miarę wiarygodnie.

- Dobra. Ale za to dodaj, że mimo że byłem jedynym podejrzanym, nie chciałem nikogo sypnąć. Wiesz... Respekt na mieście.

Leon uśmiechnął się pod nosem, a następnie szybko napisał to na laptopie. Po wydrukowaniu podbił wszystko na spodzie kartki dwiema pieczętami. Oczywiście nie uwzględnił tego, że nikogo nie sypnąłem, bo na szczęście robił sobie ze mnie jedynie żarty i napisał tylko, że byłem ważnym świadkiem w postępowaniu kryminalnym oraz przysłużyłem się polskiej policji. W końcu prof. Gucwa od mechaniki ogólnej raczej nie spojrzałby na mnie przychylnym okiem, po przeczytaniu, że spędziłem 24 godziny w areszcie, będąc jednym z podejrzanych. Chociaż kto wie? Może moment bezwładności obliczał też na bardziej życiowych przykładach w pobliskich barach.

- Dobra, spadajmy już stąd. – rzekł Leon, wręczając mi najcenniejszą rzecz dla każdego studenta, czyli zwolnienie, którego nie można podważyć. Następnie odsunął się od stołu i ostentacyjnie się przeciągnął.

- Podwieźć cię? – zapytał, nadal będąc w pozycji przeciągająco - ziewającej.

- Zazwyczaj nie lubię jeździć samochodem z policjantem, ale powiedzmy, że tym razem zmienię swoje przyzwyczajenia.

- Ja też rzadko podwożę trzydziestolatka, który chce się cofnąć w czasie o 10 lat. - odparł Leon, po czym wybuchnęliśmy śmiechem. Zastanawiające. Jeszcze kilkanaście minut temu ten policjant oskarżał mnie o morderstwo, a teraz będąc jego informatorem, śmiejemy się z tanich żartów. Lecz tak naprawdę tylko jednego mogłem być teraz pewien. Gra, która teraz się zaczęła, nie miała żadnego przewidywalnego zakończenia.

Czy ja właśnie zabrzmiałem jak Steven Seagal, czy tylko mi się wydawało?

Gdy doszliśmy do holu komendy, na pseudo recepcji tym razem siedziała policjantka, której urodę grupa nastolatków wyceniłaby pewnie na jakieś 8/10. Jako że była ubrana w policyjny mundur, dostałaby dodatkowy punkt, kończąc z zaszczytną oceną 9.

- Cześć Ala - rzucił nagle Leon do mokrego snu nastoletnich chłopców. Albo do nastoletniego snu mokrych chłopców. Sens pozostawał ten sam.

Policjantka nic nie odpowiedziała, tylko się uśmiechnęła, a zęby miała tak białe, że gdyby goliła się na twarzy, używając pianki do golenia, nie byłoby różnicy pomiędzy kolorem pianki i zębów. Niestety u większości mężczyzn przypomina to trochę zabawę w żółty śnieg, więc gdybym to ja był producentem pianek do golenia, zmieniłbym ten śnieżnobiały kolor na bardziej żółty odcień. Chociaż jeden kompleks u ludzkości mniej, bo przecież mało kto robi sobie zęby u dentysty w Hollywood. A zwłaszcza w moim akademiku.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, Leon podszedł do swojego samochodu, którym była mocno sfatygowana Skoda Octavia. Wyglądała trochę jak były radiowóz przerobiony na samochód cywilny. Trzeba zaznaczyć, że jeśli policja nie chce już używać jakiegoś samochodu, istnieje tylko jeden powód. Zalecenie kasacji od stacji kontroli pojazdów. W tym przypadku stereotypy nie chciały w ogóle temu zaprzeczać. Wgnieciona w wielu miejscach blacha, pęknięta szyba i stłuczony reflektor to tylko kilka wad uchwyconych na szybko. Nawet nie chciałem się zastanawiać, co działo się pod maską, bo jestem pewny, że poziom siedmioletniego oleju i tak zbliżał się już do poziomu bliskiemu zeru. Za niedługo z silnika będzie można wyciągać jedynie piach i orzeszki.

Wsiedliśmy do środka, po czym Leon włączył radio, jednocześnie kilka razy bezskutecznie próbując odpalić samochód. Gdy w końcu się to udało, powiedział do siebie coś o mocno przereklamowanych samochodach służbowych, po czym ruszyliśmy w stronę akademika.

- Zapisz sobie mój numer – powiedział po chwili ciszy, która powoli załapywała się do przymiotnika „niezręczna”.

Wyciągnąłem telefon i musiało minąć kilkanaście sekund, zanim stałem się posiadaczem swojego prywatnego, policyjnego telefonu zaufania.

- A rodzina tego Alana? Ktoś ich już powiadomił? – spytałem, patrząc w boczne lusterko, bo zawsze tak robią w gangsterskich filmach.

- Tak. Już poszła informacja o samobójstwie. Mają wezwać rodzinę na przesłuchanie, ale wątpię, że czegoś się dowiedzą.

- Jasne – uśmiechnąłem się - Kto jak kto, ale rodzina zazwyczaj wie o tobie najmniej. To znaczy w zakresie tych najciekawszych spraw.

Leon zmarszczył nagle czoło i skrzywił się w geście niezadowolenia, podobnie jak Tołdi, który dowiaduje się, że jego rodzice postanowili go odwiedzić w akademiku.

- Cały czas zastanawiam się, czy to dobry pomysł, żeby na razie nie informować jego rodziny o tym, że to było morderstwo, a nie samobójstwo, ale z drugiej strony, dobrze wiem, jakby to się skończyło. Programy typu „Uwaga” i „Sprawa dla reportera” chciałyby ukrzyżować polską policję.

Leon niewątpliwie miał rację. W wyobraźni widziałem już te ogromne nagłówki na stronach internetowych - „Policja ukrywała morderstwo w akademiku, twierdząc, że to samobójstwo. Czy nadal możemy im ufać?” oraz „Czy w polskich akademikach możemy czuć się bezpiecznie?”. W tym przypadku nawet klikbajt byłby zbędny. Uśmiechnąłem się w duchu. Jeśli kto chce czuć się bezpiecznie, na pewno nie powinien wybierać akademika, jako miejsca zamieszkania.

Gdy w końcu do niego dotarliśmy, obiecałem Leonowi, że jeśli zauważę coś podejrzanego, od razu dam mu znać, lecz nadal nie mogłem sobie wyobrazić, co by to mogło być. W akademiku podejrzanego jest wszystko i nic z wyraźnym naciskiem na „nic”. Przykładowo jeśli ktoś szedłby korytarzem w przebraniu niedźwiedzia polarnego, a w jednej ręce trzymałby gaśnicę, a w drugiej atrapę pistoletu, każdy szanujący się mieszkaniak akademika spytałby jedynie o numer pokoju, w którym jest ta impreza.

- Naprawdę już widzę swoją wielką detektywistyczną karierę – pomyślałem, wysiadając z samochodu i żegnając się z Leonem. Szybkim krokiem przeszedłem przez teren kampusu od strony ulicy Świętego Rocha. Śniegu ciągle przybywało i wczorajszy, przygnębiający deszczowy klimat został zastąpiony przez reklamowaną już od listopada magię Świąt. W moim przypadku można powiedzieć, że naprawdę mocno przereklamowaną.

Dzisiaj na portierni akademika numer 5 siedziała „Mądra Krystyna”. Wszyscy ją tak nazywali, ponieważ zawsze czytała jakąś książkę, ale chyba i tak niewiele z nich wynosiła. Jej zasób słownictwa ograniczał się do słów: „Tak”, „Nie” i „Pokaż kartę”. Była elokwentna niczym scenarzystka niemego filmu z lat dwudziestych albo co bardziej prawdopodobne, niezbyt miała ochotę wchodzić w dłuższe dyskusje z mieszkańcami tego przybytku. I chyba nikt nie powinien czuć się specjalnie zaskoczony.

Gdy stanąłem obok drzwi, popatrzyła na mnie przez krótką chwilę i wpuściła do środka, nie chcąc nawet sprawdzać mojej karty mieszkańca. W sumie nie było co się dziwić, bo z aktualnym wyglądem mógłbym zostać twarzą jakiejś fundacji charytatywnej, czyli idealnie pasowałem do obrazu imprezującego studenta.

Mimo że zazwyczaj wchodzę na trzecie piętro schodami, tym razem miałem siłę jedynie położyć się spać, więc postanowiłem skorzystać z windy. Była już mocno sfatygowana i co jakiś czas wpadała w mocne wibracje, jednak aktualnie nie robiło to na mnie żadnego wrażenia. Także kiedy tylko wszedłem do pokoju i zobaczyłem śpiących Toldiego i Profesora, nie namyślając się zbyt długo, wziąłem z nich przykład.

Ten sen męczy mnie już od kilku tygodni. Stoję na środku zamrożonego jeziora, a temperatura wynosi jakieś -20°C . Oczywiście jest to sen, więc nie mogę odczuwać ciepła ani zimna, ale nie wiadomo czemu obok mojej prawej nogi leży termometr, który wskazuje właśnie taką temperaturę. Mogę tylko narzekać, bo gdyby w tym śnie panowało lato, istniałaby jakaś szansa na dziewczyny w bikini. Chociaż z drugiej strony to przecież mój sen i dziewczyny w bikini mogą skakać przez przeręble w strojach najnowszej kolekcji Victoria's Secret nawet w dwudziestostopniowym mrozie. Niestety mój mózg nie jest tak wspaniałomyślny i wciąż serwuje mi tę przygnębiająco-arktyczną scenerię. Może chociaż jakieś pingwinki?

Nagle orientuję się, że cała przestrzeń zamrożonego jeziora jest pokryta różnokolorowymi, nienapompowanymi balonami. Domyślam się, że ma to oznaczać koniec jakiejś imprezy. Albo może początek? W dodatku leżący obok termometr zamienia się w czarny futerał od gitary. Na początku nie mogę go otworzyć, bo pewnie hormon w mózgu tworzący ten sen próbuje ustalić, jaka gitara jest w środku (za każdym razem jest inna). Z braku lepszego pomysłu próbuję dobiec do brzegu, jednak wydaje mi się, że cały czas stoję w miejscu, zupełnie jakbym śpieszył się na wykład z mechaniki ogólnej. Kiedy stwierdzam, że trzeba skończyć te sprinterskie zero metrów, futerał jest już otwarty a w środku znajduje się czarny Gibson Les Paul (hormon w końcu się zdecydował). I wtedy następuje najgorsze. Biorę instrument do ręki i okazuje się, że nie umiem nic zagrać. Żadnego dźwięku. Żadnego riffu. Nic. Jakbym wszystkie lata nauki gry spędził na patrzeniu się na gitarę.

Tym razem jednak nawet nie doszedłem do momentu, ponieważ nagle nad jeziorem pojawia się czarna dziura, która pochłania wszystko - mnie, gitarę, nawet życzeniowe pingwinki i dziewczyny w bikini. W dodatku po chwili okazało się, że czarna dziura nie do końca była wytworem tylko mojego umysłu.

Obudziłem się, czując na sobie uścisk rąk Profesora (witamy naszą czarną dziurę), który mocno mną potrząsał, a jedynymi słowami jakie mogłem zrozumieć, były - „Miki dwudziesta”. Na dworze było już ciemno, czyli przespałem praktycznie cały dzień. Przysięgam, że jeśli reinkarnacja istnieje, w następnym wcieleniu zostanę nietoperzem albo sową puchaczem.

Przecierając oczy, usiadłem na łóżku i rozejrzałem się po pokoju. Mój wzrok próbował nabrać ostrości niczym zepsuty aparat cyfrowy, lecz na razie uniemożliwiała mi to mocne światło. Gdy w końcu moje źrenice przyzwyczyły się do oświetlenia panującego w pomieszczeniu, oprócz Toldiego i Profesora zauważyłem trzeciego dobrego znajomego leżącego na stole, a mianowicie 40-centymetrową pizzę.

- Od razu mówię, że dokładałam się do pizzy i żądam minimum trzech kawałków – powiedziałem, wciąż przecierając oczy.

- Spokojnie. Tołdi stawia, bo to uczta za zmarłego. – rzekł Profesor, otwierając kartonik z „włoskim kółeczkiem szczęścia”. Jak widać Tołdi zdążył już opowiedzieć nocne zdarzenia ze wszystkimi szczegółami.

- Naprawdę wspaniała okazja do świętowania.

Nie zdążyłem jednak nic już dodać, bo Tołdi zaczął nakładać jedzenie na rozłożonych przed momentem talerzach. Następnie obok nich ułożył trzy szklanki dodawane w promocji do jakiegoś alkoholu, a później wyjął dwulitrową butelkę coli. Gdy tylko ugryzłem pierwszy kęs i popiłem go colą, dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jaki byłem głodny. Od prawie dwudziestu godzin nic nie jadłem, a w dodatku czy istnieje coś lepszego na świecie niż pizza z colą?

- Dobra Miki, powiedz lepiej powiedz, jak było na komendzie. - powiedział Tołdi, znajdując się pomiędzy kolejnymi kawałkami pizzy.

W czasie, gdy streszczałem im mój pobyt na komisariacie, wiele momentów mojej opowieści było przerywane najróżniejszymi wulgaryzmami, co czasami zahaczało nawet o słowotwórstwo. Kiedy skończyłem, Tołdi i Profesor wpatrywali się we mnie z miną niedowierzania i jednocześnie, niczym bliźniaczki Olsen powiedzieli:

- Miki. Skocz po browary.

- Co ja teraz zrobię? Mnie też zamordują? Nie no, samobójstwo to w sumie luzik, ale morderstwo? - krzyczał roztrzęsiony Profesor. Tołdi sprawiał wrażenie trochę bardziej opanowanego, ale może po prostu nie wszystko do niego docierało.

- Jasne Profesor. Powiedz mi, kiedy ostatnio słyszałeś, że zamordowano studenta informatyki. Naprawdę czekam. – skwitowałem ironicznie. – Uspokój się, bo na razie nie ma jakichś wielkich powodów do paniki. Według mnie mógł się pokłócić z kimś pijanym w akademiku, bo takich osób tu nie brakuje, a nie wszyscy są milutcy po alkoholu. Rozumiesz? A gdy ten ktoś, kto go uderzył, zorientował się, że go zabił, próbował upozorować samobójstwo. Zresztą Profesor... Kto by chciał cię zabić? Przecież już wspominałem, że studiujesz informatykę. - powoli przeliterowałem słowo „informatyka”.

- No ale morderstwo u nas w akademiku? - Profesor naprawdę nie dawał za wygraną i zaczął się powtarzać jak programistyczna pętla „do while”.

- Profesor... - próbowałem mówić najbardziej spokojnie, jak umiałem. - Nikt nas nie zamorduje. To był pewnie wypadek lub chciał zabić tylko tego Alano – Krystiana i nikogo więcej. - po wypowiedzeniu tego zdania zorientowałem się, że raczej nie jestem mistrzem w pocieszaniu.

- No właśnie. To po co ten Alan podawał się za Krystiana. Przecież to bez sensu.

- Nie mam pojęcia. - rozłożyłem szeroko ręce. - Ja też czasami chciałbym podawać się za Brada Pitta albo jakąś inną gwiazdę prosto z Hollywood.

- A ten znikający telefon? Wiem, że w akademiku nie wszyscy są do końca normalni, ale żeby kraść telefony samobójcom albo zamordowanym?

- To pewnie zrobił sprawca, czyli wersja z samobójcą odpada. A w ogóle nie wydaje ci się, że jeśli ktoś kogoś zamorduje, to późniejsza kradzież telefonu nie jest jakimś specjalnie trudnym wyczynem?

Spojrzałem na Profesora, który naprawdę był przerażony. Ja już prawdopodobnie jestem na to za stary albo może przez moje prawie o dziesięć lat dłuższe życie, nauczyłem się, jak odnajdywać się w takich nietypowych sytuacjach.

- Dobra chłopaki. Uspokójcie się trochę, zwłaszcza ty Profesor. To chyba czas na główne pytanie wieczoru. Jakie chcecie te piwka?

Nie wiem czy mi się tylko wydawało, ale ich twarze wyraźnie wypogodniały.

- Mi obojętnie. – odparł Profesor, sprawdzając coś na swoim telefonie. Zapewne jakieś statystyki dotyczące nagłych śmierci studentów informatyki.

- Ja dzisiaj chyba ze trzy piwa kraftowe. Wybierz te z ładnymi i kolorowymi etykietkami – rzekł po chwili Tołdi, a następnie zaczął przeszukiwać swój portfel.

- Dobra, wyskakujcie z kabonki, a ja zaraz wracam z zaopatrzeniem.

Gdy mój portfel zrobił się znacznie cięższy z powodu monet o małych nominałach, mogłem wyruszyć do monopolowego. Szybkie spostrzeżenie. Tak naprawdę dopiero w akademiku docenia się wartość najgorszych drobniaków.

Na korytarzu kręciło się już trochę ludzi, lecz dzisiaj raczej nie przygotowywali się na nocną imprezkę. Informacja o samobójstwie w kuchni rozniosła się szybciej niż darmowe papierosy na juwenaliach. Zachwiało to trochę akademikowym ekosystemem, ale zapewne jutro wszystko wróci do normy. Tutaj złe informacje przeżywają maksymalnie jeden dzień, a później są dezynfekowane przez bardzo różnorodne środki. Chyba nie muszę tłumaczyć, jakie mam na myśli.

W niedługim czasie dotarłem do monopolowego, który był oddalony od akademika o jakieś 300 metrów. W środku znajdowało się kilka osób, a równo zastawione alkoholami półki przypominały mokry sen imprezującego studenta. Zza lady powitała mnie nowa ekspedientka, co nie było specjalnym zaskoczeniem. Tołdi coś mi kiedyś wspominał, że istnieje tutaj duża rotacja sprzedawczyń, ponieważ po dwóch miesiącach pracy są one już tak zaznajomione z kupującymi tu studentami, że same zaczynają z nimi... imprezować. A znajdźcie mi lepsze miejsce na niewinny melanz niż monopolowy.

„Nowa” okazała się bardzo miła i nasza transakcja opiewająca na dziewięć piw kraftowych z kolorowymi etykietkami przebiegła bez żadnych zakłóceń. Były znacznie droższe, niż te produkowane przez duże koncerny, ale Tołdi stwierdził, że musi pozbyć się swoich drobniaków, a czy istnieje na to przyjemniejszy sposób? Wychodząc, uśmiechnąłem się i powiedziałem miłe „do zobaczenia”. Nigdy nie mów

w monopolowym „do widzenia”, bo skłamiesz. Zwłaszcza jeśli mieszkasz w akademiku nieopodal.

Wchodząc do budynku akademika, zobaczyłem, jak na stanowisku portiera instaluje się Królik. Wyraźnie było widać, że wczorajsza noc dała mu w kość. W końcu niecodziennie ktoś na twojej zmianie strzela sobie w głowę w kuchni. Na szczęście Królik nie znał prawdziwej wersji wydarzeń, bo i tak miał już minę, jakby ktoś głaskał go po plecach rozgrzanym żelazkiem.

Pomachałem mu tylko ręką i jak najszybciej chciałem znaleźć się na schodach, kiedy za szybą portierni coś przykuło moją uwagę. To było niemal takie samo uczucie, kiedy idzie się alejką w supermarkecie i kątem oka dostrzega się promocję typu: „cztery piwa w cenie dwóch”. Według medycyny oko z takiego kąta nie ma prawa nic zauważyć, ale moje jakoś zawsze dostrzeże taką promocję. Przedmiotem, który przykuł moją uwagę był telefon, do którego przyczepiona była żółta karteczka z napisem „Krystian”. Instynktownie czułem, że ten telefon ma jakiś związek ze sprawą Krystiano-Alana.

- Ej Królik. Od kiedy jest tu ten telefon? – spytałem, wcześniej pukając w szybę, ponieważ Królik zdążył już z powrotem wpatrywać się w telewizor. Zanim mi odpowiedział, zdążył zrobić półobrót na krześle, a dla niego taki sportowy wyczyn był niemal jak potrójny Axel w łyżwiarstwie figurowym.

- Od wczoraj. Jak wchodziłem dzisiaj na zmianę, to Kryśka mi powiedziała, że jakiś chłopak wszedł tu niby na chwilę, a że nie miał żadnego dokumentu, to dał w zastaw telefon i aż do teraz się po niego nie zgłosił. A co? Znasz Krystiana, który ma taki telefon?

Musiałem się szybko zastanowić, co mu odpowiedzieć. Jeśli Królikowi nic się nie pomyliło, to faktycznie istniała szansa, że był to telefon Krystiana. Mówiąc o Krysi, miał zapewne na myśli „Mądrą Krystynę”, która miała dyżur przed nim wczorajszego dnia.

- Tak. To mój kumpel z grupy. - zacząłem, starając się zachować jak najbardziej przekonujący głos. - Wczoraj jak mnie jeszcze nie było, to przyniósł mi notatki na kolokwium i pewnie tak jak mówiłeś, dał go w zastaw, a później go zapomniał, bo on używa dwóch telefonów. Chyba myślał, że mu go odniosę na uczelnię, ale dzisiaj zrobiłem sobie wolne.

Jak na skleconą na miejscu historyjkę, powiedziałem ją całkiem sprawnie i po krótkiej chwili zastanowienia Królik wręczył mi telefon. Chociaż tak naprawdę sprawiał wrażenie człowieka, który byłby w stanie uwierzyć, że w pięciolitrowym baniaku przemycanym do akademika jest woda mineralna.

Odchodząc, zwróciłem jeszcze uwagę na jedną rzecz. Monitoring. Obok telewizora w portierni znajdował się mały ekran, który przekazywał obraz z kamery znajdującej się praktycznie nad moją głową. Dzięki nagraniu można by się dowiedzieć, kiedy nasz Krystiano – Alan pojawił się w akademiku i czy na pewno przyszedł tu sam. W dodatku pozwoliłoby to ostatecznie potwierdzić, czy to on zostawił tutaj ten telefon.

Bardzo możliwe, że już poprzedniej nocy Leon poprosił o to nagranie, jednak nie zaszkodziło spytać. W końcu ekran monitoringu był jakoś 5 razy mniejszy od telewizora, na którym Królik oglądał swoje seriale, więc można było to przeoczyć. Priorytety muszą się zgadzać.

- Królik, mam jeszcze jedno pytanie. - powiedziałem, znowu cofając w stronę portierni. - Masz może nagranie z monitoringu z poprzedniej nocy?

- Co wy wszyscy z tym monitoringiem? - Królik wyraźnie się zdziwił. Już wczoraj jeden z tych policjantów o to pytał. Kilka miesięcy temu ktoś ukradł kartę pamięci i nic się nie nagrywa. To pewnie ta nowa, młoda portierka i od tamtej pory nie możemy doprosić się nowej karty. Kierowniczka kazała nam się składać, bo twierdzi, że to ktoś z nas, a budżet na razie nie przewiduje takich wydatków.

Zakląłem w duchu. Faktycznie kierowniczka akademika trzymała budżet twardą ręką. Chodzą nawet plotki, że kupuje spirytus od chłopaków z dziesiątego piętra, co wskazuje, że oszczędność ma we krwi. Jak i promise. Przepraszam. Tani żart.

- Dzięki Królik. Trzymaj się i nie przejmuj się zbytnio tym samobójstwem. - chciałem go jakoś pocieszyć, ale jego głowa wpatrywała się już w kolejny odcinek jakiejś telenoweli.

Kiedy znalazłem się na pierwszym piętrze, czyli już poza całkowitym zasięgiem jurysdykcji Królika, wyciągnąłem z kieszeni telefon z portierni. Był to budżetowy model Huawei, który na szczęście miał jeszcze kilkanaście procent baterii. W dodatku udało mi się go odblokować, bo ekran nie był zabezpieczony ani 6-cyfrowym kodem, ani odciskiem palca. Wystarczyło przesunąć w górę ekranu, po czym pojawiła się fabryczna tapeta z kilkoma ikonami aplikacji. Przeszedłem do książki telefonicznej, a pod literą „J” moją uwagę zwrócił tylko jeden wpis. Julia.

Tym razem wyciągnąłem już swój telefon, bo musiałem zadzwonić do Leona. Niestety od razu włączyła się poczta głosowa. Po krótkim sygnale oznaczającym, że mogę się nagrać, wziąłem głęboki oddech.

- Cześć Leon, tu Miki. Możliwe, że coś mam.

Rozdział 5

„Kto nie gra i nie śpiewa, ten nie pije szampana”

Gdy wszedłem do pokoju Profesor i Toldi leżeli na swoich łóżkach, a ich jedynym zajęciem było chyba tylko trawienie pizzy. Profesor jednak niemal natychmiast dostrzegł telefon z portierni, który położyłem na stole.

- Co to za telefon? – spytał, prostując się na łóżku, co w aktualnym stadium trawienia było zapewne równoznaczne ze zrobieniem stu brzuszków.

Kiedy opowiedziałem w jaki sposób stałem się posiadaczem tego telefonu, obaj zdążyli wypić po połowie kraftowego piwa, a następnie wpatrywali się we mnie, obrywając z tych samych butelek jedynie kolorowe etykiety.

Co ty jesteś jakąś starą wróżbiarką, że tak wszystko widzisz? – krzyknął nagle Profesor. – Jeśli to nie jego telefon, to ktoś może oskarżyć cię o kradzież. A mało już mamy kłopotów Miki?

- Mam takie dziwne przeczucie, że to jego telefon. – opowiedziałem, odrzucając wszystkie możliwe wątpliwości. Podobno tak samo robią wszystkie panny młode przed ołtarzem, zanim wypowiedzą sakramentalne „Tak”. Przyszli panowie młodzi nie mają żadnych wątpliwości, bo są zbyt zaaferowani tym, jak zniszczyć wszystkie zdjęcia powstałe podczas wieczoru kawalerskiego.

- Przeczucie – warknął Profesor – I to niby ma ci pomóc w odnalezieniu tego mordercy?

Wzruszyłem ramionami.

- Musimy to wszystko jakoś poukładać – odparłem i ze zrezygnowaniem usiadłem na łóżku.

Sytuacja komplikowała się coraz bardziej z godziny na godzinę. Samobójstwo, które okazało się później morderstwem, w dodatku nie wiadomo czy zaplanowanym czy spontanicznym. Spontaniczne morderstwo? Chyba trochę dziwnie to zabrzmiało. Najgorsze było jednak to, że w tej sprawie jak na razie nie było żadnego punktu zaczepienia.

Popatrzyłem na wzięty z portierni telefon, który jak na razie dawał więcej znaków zapytania, niż racjonalnych odpowiedzi. Nawet nie wiedziałem, czy faktycznie należał do Alana, a nawet jeśli, to moja rozwalona układanka rozwalała się jeszcze bardziej. Jedynym dowodem był kontakt do Julii w książce telefonicznej, czyli nie był to jakikolwiek dowód. Zdążyłem też przejrzeć skrzynkę odbiorczą i historię połączeń, które okazały się puste, jakby ktoś kasował wszystko na bieżąco. W sumie niektórzy tak robią, jeśli mają trochę zbyt zazdrosnych dziewczynę lub chłopaka. Ale z drugiej strony dlaczego Krystiano – Alan miałby mieć dwa telefony?

Przez chwilę pomyślałem, że może zadzwoniłbym do tej Julii, lecz nawet nie wiedziałem, jakbym miał zacząć rozmowę: „Hey. Znalazłem zwłoki twojego

chłopaka - samobójcy, a teraz tak sobie dzwonię pogadać, bo znalazłem taki telefon z „Julią” w kontaktach i pomyślałem, że to właśnie ty jesteś tą jego byłą dziewczyną” Bezsens.

Bez wątpienia potrzebowalem jakiegoś swiężego spojrzenia na tę sprawę, kogoś kto by mi powiedział, czy idę w dobrą stronę. Najlepiej byłoby się spytać o to byłą dziewczynę, bo podobno była dziewczyna zawsze powie ci prawdę. Szkoda tylko, że moja nie chce ze mną gadać.

- Tołdi, znalazłbyś mi jakąś foliową reklamówkę, bo muszę w coś włożyć ten telefon. – powiedziałem, kładąc telefon na stole i uważając, żeby nie dotykać zbyt często ekranu.

Tołdi uniósł wysoko brwi, ale od razu mu wytłumaczyłem, dlaczego potrzebuję tej reklamówki.

- Pomyśl... - zacząłem. – Na tym telefonie robi się wszystko, dotykając ekranu. Jeśli to telefon Alana, to będą na nim jego odciski palców. Wcześniej, gdy przeglądałem ten telefon, używałem do tego celu bardziej paznokcia niż opuszki palca, żeby odciski na wyświetlaczu nie zostały zastąpione moimi.

- Lepsze odciski na wyświetlaczu, niż na broni z której ktoś zabito – zaśmiał się Tołdi, ale już po chwili podszedł do mnie, podając mi starą, jednorazową reklamówkę z logiem pobliskiego supermarketu. Jej wygląd wyraźnie zaprzeczał byciu jednorazową, ale naprawdę nie było teraz czasu na wybrzydzenie. W dodatku jak coś, co rozkłada się 500 lat, ma być niby jednorazowe?

- Wasz profesjonalizm jest porażający – westchnął Profesor, jednocześnie włączając swojego laptopa i nakładając duże słuchawki, które zapewne miały za zadanie, odciąć go od rzeczywistości. Długa sesja programowania powinna pomóc mu otrząsnąć się ze zdarzeń z ostatnich 24 godzin. Jednak zanim wszedł do świata zmiennych, pętli i funkcji, trochę ponarzekał pod nosem na moje, jak to ujął boskie przecucie i poradził, żebym następnym razem lepiej przyniósł do pokoju mikrofalówkę, bo nasza zaczyna się psuć. I może faktycznie miał trochę racji.

- Dobra Profesor – powiedział Tołdi – Zanim zaczniesz kodzić, rzuć mi jeszcze drugiego browara. Mikiemu też, bo on jeszcze żadnego nie ruszył.

Profesor tylko westchnął ze zrezygnowaniem, ale wiedział, że nie może się zbyt często kłócić, bo jego łóżko i biurko znajdowały się najbliżej lodówki. Otworzył ją szybkim ruchem, po czym rzucił dwie butelki w stronę Tołdiego, który złapał je z taką gracją, jakby był gwiazdą amerykańskiej drużyny bejsbolowej. Patrząc na jego bezbłędny chwyt, można było stwierdzić, że naprawdę „czuł piłkę”.

Gdy wziąłem pierwszy łyk, miałem nadzieję, że pozwoli mi się to trochę skupić, lecz zimne piwo pomaga w skupieniu zupełnie jak bilet na najlepszą imprezę w mieście włożony w pracę domową z matematyki. Z tego powodu moje myśli były jeszcze bardziej chaotyczne, dlatego aby całkowicie nie utracić trzeźwego myślenia, obiecałem sobie, że jest to dzisiaj moje pierwsze i ostatnie piwo. Chciałbym zaznaczyć, że w akademiku chyba nie istnieje trudniejsza obietnica, chociaż „Obiecuję, że zaczynam się uczyć” też nie należy do najłatwiejszych.

Nagle drzwi otworzyły się z niesamowitą prędkością, a po chwili z jeszcze większą prędkością do pokoju wbiegła Ola, wymachując rękoma we wszystkich możliwych kierunkach. Była ona studentką trzeciego roku architektury, czyli znajdowała się na tym samym roku co Tołdi. Oprócz tego że plasowała się w topowej trójce najzdolniejszych osób na całym roku, wyróżniała ją jeszcze jedna wrodzona cecha, a mianowicie uroda. Jeśli zmrużyło się oczy i spojrzało pod odpowiednim kątem, wyglądała niemal jak jedna z gwiazd włoskiego kina. Tak, wiem. Trzeba było mocno zmrużyć te oczy i patrzeć pod naprawdę odpowiednim kątem, ale nadal znajdowaliśmy się w topowej lidze.

Wygląd Oli dostarczał jej naprawdę wielu adoratorów, ale wszyscy w akademiku wiedzieli, że Oli tak naprawdę podoba się tylko Tołdi. Wiem, że zabrzmiałoby to trochę jak z taniego romansu, ale podobno Tołdiemu podobała się tylko Ola i w dodatku oboje sprawiali wrażenie, jakby tylko oni o tym nie wiedzieli. Szkoda. Gdyby byli parą, wyglądałoby to tak, jakby „chłopak z opakowania płatków śniadaniowych” poznał „dziewczynę z opakowania płatków śniadaniowych”. Chociaż Ola byłaby raczej z opakowania w wersji dla dorosłych. Kurde. Sam bym to kupował. A swojemu dziecku dawał to słodziutkie opakowania z Tołdim.

- Miki! – krzyknęła Ola, wyrywając mnie z zamyślenia. – Nic ci nie jest? Cały akademik mówi o tobie. Podobno znalazłeś samobójcę w kuchni i pojechałeś później na komendę.

- Zawsze chciałem być sławny – odparłem z szerokim uśmiechem.

- Proszę nie zgrywaj się. Na pewno wszystko w porządku?

- Jeszcze nie musisz projektować mi trumny. Ale jeśli kiedyś będziesz, to pamiętaj. Różowa w czarne serduszka. – odpowiedziałem, wciąż podtrzymując uśmiech. Ola go odwzajemniła, a następnie przytuliła mnie, używając do tego chyba całej swojej siły, bo momentalnie przypomniałem sobie, że mój kręgosłup ma już skończone trzydzieści lat.

- Jak to się wszystko dokładnie stało Miki? – spytała Ola, rozluźniając już swój uścisk miłości dla trzydziestoletnich seniorów. Nie miałem ochoty po raz kolejny opowiadać tej historii, lecz jak to mówią - dziekanowi i ładnej dziewczynie się nie odmawia, więc tylko dopiłem do końca swoje piwo i zacząłem opowieść o samobójcy z kuchni, usuwając z niej niektóre fragmenty, które wskazywały na morderstwo. Czułem się trochę, jakbym zdawał swojej mamie relację z imprezy, wycinając co najpikantniejsze szczegóły. Gdy skończyłem, Ola w ogóle nie przypominała osoby sprzed kilku minut, kiedy wbiegła do pokoju ze swoim potrojnym ADHD, lecz stała w całkowitym bezruchu, patrząc na mnie aż za bardzo otwartymi oczami. Musiałem pstryknąć kilka razy palcami, żeby się ocknęła.

- Miki... To on się zabił przez dziewczynę, bo zerwała z nim przez esemesa? – zapytała ścisłym głosem.

- A co? Podliczyłaś teraz ilu facetom wysłałaś podobnego esemesa? – roześmiałem się.

- Tak wielkich liczb nie dodasz w pamięci – wtrącił się Tołdi, który podkreślił swoje zdanie głośnym chrząknięciem, jakby chciał zakomunikować, że też znajduje się w pokoju. „Wielki zakochany” wkracza do akcji. Witamy z fanfarami.

- O cześć Tołdi. Przepraszam. Nie zauważyłam cię – odpowiedziała Ola niewinnie się uśmiechając. Ach, ten nieodżałowany „podryw na obojętność”

- O cześć Profesor – dodała po dłuższej chwili wpatrywania się w Tołdiego. W tym przypadku początkowa obojętność była jednak szczerze nieudawana.

- Ola, rozumiem, że dzisiaj nie jest twój najlepszy dzień spostrzegawczości, ale ten pokój naprawdę nie ma stu metrów kwadratowych – rzekł Tołdi. – Ale dzisiaj ci jeszcze wybaczę. Poczuj moje litościwe serce. – dodał po kilku sekundach. Dobra Tołdi. Ja tobie też wybaczę ten podryw na kretyna. Poczuj moje mroczne, trzydziestoletnie serce.

- Zapamiętam – odpowiedziała z uśmiechem Ola. – A w ogóle słyszeliście, że wszyscy chodzą do kuchni niżej?

- A myślałaś, że do naszej kuchni będą jakieś ogromne pielgrzymki? – powiedziałem, podłączając swój telefon do ładowarki. Została mi tylko jedna kreska baterii, a naprawdę nie chciałem przegapić telefonu od Leona. Następnie otworzyłem lodówkę, żeby wyjąć kolejne piwo. Czy wspominałem już coś o trudnych obietnicach?

- No to już zawsze będziemy chodzić piętro niżej? – Ola wyglądała na rozczerowaną.

- Nie musisz się zbytnio martwić – roześmiałem się – Jutro, a najpóźniej pojutrze wszystko wróci do normy i pewnie zorganizują tam pożegnalną imprezę ze świeczkami i tanim winem. Jedyne czego na pewno nie będę tam robić to frytki.

- Całkowicie się zgadzam. – rzekł Tołdi. – Chociaż ja po prostu przerzucę się na innego producenta, bo w przypadku mrożonych potraw inny producent to już całkowicie inne danie.

Ola głośno się roześmiała, odsłaniając przy tym swoje piękne zęby. Gdybym był jedną z pseudo szalonych trzynastolatek, zakładających w internecie fankluby wszelkich możliwych rzeczy, założyłbym fanklub jej zębów. Bez wątpienia jej uśmiech zawsze mnie motywował, aby powiedzieć coś śmiesznego.

- Aaaaaa... Dobrze, że sobie przypomniałam – krzyknęła nagle Ola. Samorząd studencki ogłosił dzisiaj konkurs. Trzeba nagrać utwór w dowolnym stylu muzycznym i pomyślałam, że może was to zainteresuje, bo ty Miki przecież grasz na gitarze, Tołdi coś tam śpiewa, a Profesor z tego co kojarzę, bawi się elektroniką i tymi wszystkimi programami z których ja nic nie rozumiem, więc może zrobilibyście jakiś numer. Ale teraz słuchajcie najważniejszego. Główną nagrodą jest występ przed główną gwiazdą wieczoru podczas „bitwy akademików” na juwenaliach. Podobno przewidziane są też cztery skrzynki piwa, ale to akurat nieoficjalna nagroda.

Tołdi nagle zeskoczył z łóżka i zaczął klaskać w dłonie, zupełnie jakby się okazało, że na studiach ocena dwa też zalicza.

- Ha! Wiedziałem, że Drzazga wymyśli jakieś sensowne nagrody, za to, że załatwiłem z tymi dziobakami z samorządu, żeby to on został przewodniczącym.

Z tego co się orientowałem, to Drzazga był teraz chyba na ostatnim roku architektury i podobno jego największym marzeniem było zostać właśnie przewodniczącym samorządu studenckiego. Naprawdę nie wiem, skąd to się u niego wzięło. Może jak był mały, naoglądał się za dużo transmisji z obrad sejmku? Naprawdę nie wiem. Ale jak to mówią – każdy ma swoje fetysze.

Drzazga posiadał za to jeden dosyć cenny talent. Był geniuszem we wszystkie gry karciane z pokerem z odmianą Texas Hold'em na czele. W poprzednim roku Tołdi stoczył z Drzazgą największą bitwę pokerową w historii akademika. Kiedy już się wydawało, że pokonał Drzazgę, ten wyjechał mu z takim układem kart, że biedny Tołdi nie znał takich przekleństw, które opisywałyby tę sytuację, a dodatkowo przegrał 5 litrów i bynajmniej nie chodziło tu o 5 litrów mineralnej gazowanej. Dla podpowiedzi dodam, że chodziło o coś w podobnym kolorze.

Lecz kiedy Tołdi dowiedział się o marzeniu Drzazgi, postanowił je urzeczywistnić za jedyne 5 litrów, czyli ich ogólny litrowy bilans wyszedł na zero. Naprawdę nie chcę wiedzieć, jak Tołdi załatwił mu tę posadę, bo ówczesną przewodniczącą samorządu była Andzelika, której zdjęcie mogłoby posłużyć za plakat widzimy z filmu „Blair Witch Project”, a gdy się z nią rozmawiało, w odbiciu jej okularów z czterocentymetrowymi szklami układało się możliwie jak najszybszą drogę ucieczki.

- To jest coś takiego jak „bitwa akademików”? – spytałem z lekkim niedowierzaniem.

- No jest, jest – odpowiedział mi szybko Tołdi. – Każdy wraca po tej bitwie do pokoju, ale rzadko o własnych siłach. Tak powinna wyglądać każda wojna.

- To napiszecie jakiś utwór?

Wzrok Oli nie pozwalał nam odmówić, więc po krótkiej wymianie spojrzeń z Profesorem i Tołdim chóralnie krzyknęliśmy:

- Ogarniemy!

Spojrzałem na swoją gitarę elektryczną, która leżała za łóżkiem. Był to biało-czarny Gibson SG, którego kupiłem jakieś dziewięć lat temu, już wtedy marząc o wielkiej karierze gwiazdy rocka. Kiedy ma się dwadzieścia jeden lat, wierzy się w takie głupie pomysły, lecz życie brutalnie je weryfikuje, chociaż w moim przypadku weryfikacja jeszcze nie nadeszła, lub co bardziej prawdopodobne, patrzyłem na nią z zamkniętymi oczami. Ogólnie gitarzyści od zawsze dzielą się na dwie podstawowe grupy: gwiazdy rocka i lustrzani imitatorzy gwiazd rocka. Co jak co, ale żeby dobrze wyglądać z gitarą przed lustrem, też trzeba się trochę natrudzić. Dobrze, że w domu miałem naprawdę duże lustro, naprzeciwko którego dałem jedno z najlepszych lustrzanych koncertów w historii rocka. Stadiony z lustrami jedynie w garderobach wciąż czekają.

- Ok. Mam parę riffów, to może uda nam się zrobić jakiś utwór – powiedziałem, nie spuszczając wzroku z Gibsona.

- Połączymy rap, pop i death metal – Profesor w końcu powiedział coś z radosną miną. – Będziemy mieszać style, tak jak mieszają się zaliczenia i niezaliczenia w indeksie Miki.

- Bardzo śmieszne – odburknąłem – Sesja jeszcze przede mną.

- Ocenę z kolokwiów już pokazują pewną tendencję – dodał Tołdi, a ja tylko mogłem pokręcić głową i wzruszyć ramionami.

- To ja wam moi kochani muzycy nie przeszkadzam, bo jutro to ja mam pierwsze kolokwium w tym sezonie i naprawdę nie chcę oddać czystej kartki – powiedziała Ola, powoli kierując się w stronę drzwi.

- Oj nie przesadzaj. Miki miał już dzisiaj kolokwium i naprawdę fenomenalnie mu poszło – Tołdi naprawdę przesadził z powolnym literowaniem słowa „fenomenalnie”.

- Naprawdę muszę iść. Buziaki chłopcy – rzekła Ola, zamykając za sobą drzwi, więc nawet nie zdążyliśmy nic odpowiedzieć. Jedną z moich życiowych prawd. Gdy dziewczyna mówi ci „buziaki”, to znaczy, że w ogóle nie ma ich na myśli. O buziakach się nie mówi, buziaki się daje. Jednak teraz było to mało ważne, bo mieliśmy nasz wielki przebój do zrobienia, a adresatem buziaków i tak zapewne był jedynie Tołdi.

Wziąłem do ręki Gibsona i zacząłem grać skomponowane przez siebie riffy, które na razie były całkowicie nieuporządkowane.

- Dobra Miki, weź się podłącz do gitarporta, a nie grasz na sucho – powiedział Profesor, włączając program do nagrywania muzyki. Używał ich do tworzenia swoich amatorskich utworów w gatunku elektronicznym, co było trochę odległe od rocka, ale niestety w akademiku nie panowała klęska urodzaju w zakresie producentów muzycznych.

Wyjąłem gitarport z mocno sfatygowanego opakowania i wpiąłem do niego gitarę. Był to cyfrowy symulator wzmacniaczy gitarowych. Podłącza się do tego z jednej strony gitarę zwykłym przewodem zakończonym obustronnie tak zwanym džekiem, a następnie z samego gitarporta przyłączamy się do komputera przez taki sam przewód z dodaną przejściówką. Po odpowiedniej konfiguracji można już rejestrować swoje pomysły, mając do dyspozycji najrozmaitsze efekty, od mocnego przesteru, aż po delay i flanger. Oczywiście im większe głośniki tym lepiej.

Po tym jak uporałem się z tym wszystkim i ustawiłem moc przesteru na 7/10, od razu poczułem, że gitara elektryczna została stworzona po to, żeby podłączać ją do wzmacniacza. Nawet jeśli miał to być tylko cyfrowy symulator.

- Dobra, to w jakim klimacie ma być ten numer? – zapytałem, strojąc gitarę.

- Nieważne w jakim. Byle tylko dziewczyny chciały mnie całować, kiedy go zaśpiewam. To mój jedyny wymóg, reszta się nie liczy. – odpowiedział Tołdi z typową dla siebie szczerością.

- Nie ma być smętny – dodał po chwili Profesor.

- Właśnie – przytaknął Tołdi. – Dziewczyny mają być smutne dopiero wtedy, kiedy będę je rano opuszczał.

- Idealnie mi to nakreśliliście – odparłem, głośno się śmiejąc, a następnie zacząłem grać trochę szarpany riff, który wydawał mi się całkiem dobrym wstępem do naszego utworu.

- To jest spoko – krzyknęli jednocześnie Profesor i Tołdi.

- Dobra. Nagrajmy to teraz, a później zajmiemy się refrenem – rzekł Profesor, ustawiając w programie kilka opcji. – Jakie chcesz tempo metronomu do tego?

- 150 beats per minute – odpowiedziałem, wypowiadając angielskie słowa ze wschodnioeuropejskim akcentem.

- Mówisz, masz, a powiedział ci to twój osobisty Rick Rubin.

Nagrać wszystko w miarę czysto udało mi się nagrać dopiero za piątym razem, chociaż po kilku sekundach Profesor nałożył na to taki efekt, że równie dobrze pierwsze zawałone podejście brzmiałoby tak samo.

- Dobra. Teraz zagraj ten sam riff, tylko trochę go przedłużaj, a później dogramy drugą gitarę, tyle że na wysokich dźwiękach i będziemy mieli naprawdę melodyjny refren – po usłyszeniu tych słów lekko się uśmiechnąłem. Tak właśnie wygląda profesjonalizm amatorskich kapel rockowych. Zamiast powiedzenia, aby dany dźwięk zagrać półnutą, a nie na przykład ćwierćnutą, stosuje się niezastąpione „przedłużaj”. Jednak Profesor nie pomylił się w przypadku wagi melodyjnego refrenu. Pierwsza zasada rocka, lub ogólnie muzyki. Refren = melodia = (dziewczyny – ich chłopaki) + ty. W takich momentach kocham matematykę.

Refren wyszedł naprawdę fajnie, co potwierdziły świecące się oczy Tołdiego, który cały czas nucił sobie pod nosem pomysły linii melodycznej wokalu. Zwrotkę zrobiliśmy w jakieś pół godziny, kiedy trochę przerobiłem 2 riffy z ballady, którą napisałem 3 lata temu dla mojej byłej dziewczyny, więc jak widać, piosenki pisane dla byłych dziewczyn czasami się przydają, bo były dziewczyny już niekoniecznie. Na samym końcu napisałem riff, który Tołdi nazwał „dzieci z przedszkola i rytmika”, więc nie przetrwał on swojej kilkuminutowej próby czasu.

- Perkusję mogę zsampłować, ale przydałaby się tutaj jeszcze jakaś gitara basowa – westchnął Profesor.

- No jak widzisz, oprócz prawie pustej lodówki dodatkowo mamy w pokoju pół sklepu muzycznego. – odpowiedziałem ironicznie, rozkładając szeroko ręce, zupełnie jakbym chciał pokazać ogrom czegoś, czego nie ma.

- Nie martw się Miki – roześmiał się Tołdi. - Może z twoją gitarą nie zawojujemy świata, ale z moim z wokalem historia rocka nigdy nie będzie już taka sama.

Czuję, że będzie całkiem podobna.

Tołdi uśmiechnął się, unosząc jedną brew.

- Dobra, może trochę przesadziłem z tym rock and roll hall of fame, ale myślę, że z tematem basu będę w stanie pomóc.

- Tak? W jaki sposób? - Profesor wyraźnie się ożywił i oderwał wzrok od monitora. Zapewnie aktualnie próbował znaleźć idealnie brzmienie werbla i stopy.

- Dajcie mi kilka minut – rzekł z dużą pewnością w głosie Tołdi, a po chwili znalazł się już za drzwiami.

Profesor wrócił do układania perkusji, a ja z powrotem wziąłem do ręki gitarę i zacząłem grać jakieś przypadkowe riffy znanych zespołów, co pozwoliło mi chociaż na chwilę zapomnieć o wydarzeniach, które zaczęły się około 24 godziny temu. Moja komórka wciąż milczała, więc Leon prawdopodobnie nadal miał wyłączony telefon. Zupełnie jak większość dzieciaków po wywiadówce lub na wycieczce szkolnej.

Spojrzałem na Profesora, który z wielkimi słuchawkami na uszach sprawiał wrażenie bycia w swoim własnym świecie, co było bardzo przydatną umiejętnością podczas mieszkania w akademiku. Dzięki temu po dwóch miesiącach przebywania razem, jak na razie obyło się bez strat w ludziach, a trzeba zaznaczyć, że trzech facetów mieszkających na kilkunastu metrach kwadratowych ze wspólną łazienką na korytarzu zahacza o tematykę filmów z cyklu survival horror.

W momencie gdy zaczęły mnie boleć opuszki palców od zbyt intensywnego grania rockowych patentów, drzwi szybko się otworzyły, po czym do pokoju wmaszerował Tołdi, trzymając w jednej ręce czarną gitarę basową, a w drugiej połowę szampana, którego etykieta wskazywała na popularny w akademiku przedział cenowy – tani, ale odważnie aspirujący do średniej półki.

- Widzę, że ktoś bardzo przyspieszył twoje tegoroczne Boże Narodzenie – rzekłem, wciąż wpatrując się na zmianę w bas i szampana. Niemal natychmiast dodałem w myślach, że Sylwester także uległ lekkiej zmianie terminu.

- Znam ten akademik lepiej, niż własny dom – roześmiał się Tołdi, delikatnie kładąc bas na moim łóżku. - Jeśli ktoś ma tutaj rzecz, która może mi się przydać, uwierz mi Miki, będę o tym wiedzieć.

- Bas to rozumiem, ale po co ci w połowie wypity szampan? - Profesor niemal podniósł ręce do góry w geście niezrozumienia.

- Szczęśliwy przypadek. Ktoś go zostawił przy drzwiach do damskich pryszniców. Sami wiecie, co tam się czasami dzieje.

Wolałem nie wiedzieć. W końcu mam nadciśnienie, dlatego tylko przecząco pokręciłem głową.

- A ten bas? Wątpię, żeby leżał obok kurka do ciepłej wody – spytałem, a następnie wziąłem go do ręki. Niemal natychmiast zacząłem żałować, że zadałem to pytanie, bo Tołdi mógł za jego pożyczenie, obiecać coś, co nie do końca musiało się nam spodobać.

- Załatwiłem go od Drzazgi – rzekł Tołdi, siadając na łóżku Profesora.

- Od Drzazgi? - Profesor niemal się zakrztusił, mimo że aktualnie nic nie przelykał, ale miało się to już za chwilę zmienić, bo Tołdi właśnie rozlewał pozostałą zawartość szampana do szklanek stojących na biurku. - Czyli mam rozumieć, że Drzazga oprócz bycia przewodniczącym samorządu, po nocach gra na basie w jakiejś kapeli?

- Tak, właśnie tak jest. Też ciągle się zastanawiam, gdzie my popełniliśmy błąd – roześmiał się Tołdi, a następnie niemal duszkiem wypił swoją szklankę wypełnioną znalezionym szampanem.

Wzruszyłem tylko ramionami i mimo że nie jestem jakimś specjalnie utalentowanym basistą, lata gry na zwykłej, sześciostunowej gitarze nie poszły całkowicie na marne. Umiałem opanować również bas na poziomie średnio-zaawansowanym.

Nawet bez podłączania go do jakiegokolwiek wzmacniacza, brzmienie tego instrumentu było niesamowite i w ogóle się nie dziwię, czemu kobiety tak bardzo lubią to brzmienie, bo nawet ja miałem ciarki na plecach po kilku zagranych dźwiękach. Kiedy jeszcze Profesor podłączył wszystko do gitarporta i ustawił głośność bliską maksymalnej, naprawdę zstąpił na mnie duch rock & rolla, a żeby go podwyższyć i utrzymać, Tołdi dolał do szklanek piwo pochodzące z czteropaka przygotowanego na czarną godzinę. Chyba już coś wspominałem o jego czteropakach schowanych za łóżkiem.

Całą linię basową udało mi się zarejestrować za piątym razem, co i tak było dość dużym sukcesem, patrząc na to, że od grubych, basowych strun moje opuszki palców wyglądały tak, jakbym przez godzinę głaskał psa ubranego w czapkę z papieru ściernego. Tak w ogóle jestem ciekawy, ile psów marzy o takim gadżecie.

Profesor w miarę szybko zmiksował wszystkie ścieżki i roboczy plik w formacie mp3 wysłał Tołdiemu, który po kilku minutach z założonymi słuchawkami starał się ułożyć linię melodyczną wokalu. Jego pseudo-śpiewanie przerwał odgłos mojego telefonu.

- Cześć Mikołaj, tu Leon. Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość. Mam nadzieję, że masz coś przydatnego, bo ja też dowiedziałem się paru rzeczy.

- No cześć – odpowiedziałem trochę poddenerwowanym głosem. – To jakoś jutro możemy się spotkać? - wołałem opowiedzieć wszystko na żywo, bo wiedziałem, że zapowiada się naprawdę długa rozmowa.

- Chyba żartujesz. Aktualnie jestem obok lotniska, więc za jakieś 10 minut jestem u ciebie – rzekł Leon tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zupełnie jak moja mama podczas domowych porządków.

- Wiem, że jest już po północy i nie ma już korków, ale jakim cudem będziesz tu w dziesięć minut?

- Chyba nie poznałeś jeszcze magii niebieskiego światełka.

- To jest jakaś sztuczka na trzeciej randce?

Leon głośno się zaśmiał, po czym wcisnął czerwoną słuchawkę, a ja spojrzałem na zegarek i zacząłem odliczanie.

Rozdział 6

„Noc w akademiku jest dużo ciekawsza, więc zapomnij o Carpe Diem. Carpe Nox jest znacznie lepsze”

Magia niebieskiego światełka musiała być naprawdę ogromna, skoro Leon zjawił się 2 minuty wcześniej, niż zapowiadał. Wszedł do pokoju zamasyście otwierając drzwi, całkowicie omijając część zwaną pukaniem. Naprawdę niezła pokazówka. Coś w stylu złego policjanta.

Profesor i Tołdi nie byli specjalnie zachwyceni faktem, że nasz pokój odwiedza stróż prawa i zachowywali się podobnie jak grupa piętnastolatków nakrytych przez szkolną pedagog na paleniu w toalecie swoich pierwszych papierosów. Nawet gdyby wmawiała im, że jest ich najlepszym przyjacielem i zachowa tę informację dla siebie, nigdy by jej nie zaufali. Po prostu.

Leon był ubrany w grubą, flanelową koszulę w kratę, a na to miał zarzuconą czarną skórzaną kurtkę. Jego kilkudniowy zarost zdążył się już dorobić jednego dnia więcej, zmniejszając tym samym dystans dzielący go od tygodniowego. Aktualnie nikt raczej by nie podejrzewał, że jest on policjantem, co pewnie niejednokrotnie było jego atutem.

- Cześć wszystkim – powiedział, rozglądając się po pokoju, lecz z powodu dość ograniczonej przestrzeni, nie zajęło mu to zbyt długo. Jak nietrudno zgadnąć, Leon nie wyglądał na specjalnie zadowolonego z obecności Tołdiego i Profesora. Zdążył się już pewnie zorientować, że poranne wydarzenia z komendy zostały im dokładnie przeze mnie zrelacjonowane i akademikową wtykę o pseudonimie Miki należało teraz pomnożyć razy trzy. Zupełnie jak w ostatniej rundzie w Familiadzie. Naprawdę przepraszam za ten słaby żart.

- Dobra Mikołaj, jako że nie musimy się zbytnio ukrywać z twoim zadaniem, to od razu pokazuj, co masz.

Wiedziałem, że nie mam teraz czasu na żadne głupie uwagi, więc szybko sięgnąłem po reklamówkę leżącą na biurku i podałem ją Leonowi. Wykazał się on jednak większym profesjonalizmem niż ja, ponieważ zanim wyjął telefon, założył gumowe rękawiczki, które trzymał w tylnej kieszeni spodni. Mam nadzieję, że jeśli ja też będę musiał nosić takie rzeczy w tym samym miejscu, to nikt się o tym nie dowie, bo mogłoby to wzbudzić bardzo niesprzyjające skojarzenia.

- Co to za telefon? W dodatku właśnie się rozładował. Z tego co pamiętam, mówiłeś, że Alan miał jakiś inny model.

Kolejny raz musiałem opowiedzieć tę samą historię, co kilka godzin wcześniej. Leon przysłuchiwał się tej opowieści z dużym niedowierzaniem na twarzy, ale na szczęście w odróżnieniu od Profesora i Tołdiego powstrzymał się od epitetów.

Kiedy skończyłem, poobrać telefon jeszcze chwilę w dłoniach, jakby w jakiś nikomu nieznany sposób miało mu to pomóc w zidentyfikowaniu właściciela.

- To według ciebie studenci mają teraz po dwa telefony, każdy następny lepszy od poprzedniego?

- Nie wiem. Właśnie ci powiedziałem, jak go znalazłem, a sam przecież kazałeś mi zwracać uwagę na podejrzane rzeczy.

Leon głośno westchnął, a ja tylko wzruszyłem ramionami. Co miałem powiedzieć? Też nie umiałem tego racjonalnie wytłumaczyć. Zaryzykowałem z tym telefonem i mogłem teraz tylko czekać na rozwój wydarzeń. A czy przypadkiem nie każdy mężczyzna oświadczający się kobiecie nie jest w podobnej sytuacji? Też nie może przecież racjonalnie wytłumaczyć, czemu to robi. Bo ją kocha? Przecież to najbardziej wyświechtany frazes ostatnich kilku stuleci. A może dlatego, że mu się podoba? Bo będzie ładnie wyglądać na zdjęciach rodzinnych? Bo już nadszedł ten czas? Ale kobieta wcale nie ma łatwiej przy oświadczeniach. Może jedynie użyć dwóch odpowiedzi, a mianowicie odpowiedzi A – „tak” i odpowiedzi B – „nie”. A gdzie jest jakaś odpowiedź C? Przecież przy pytaniu, które będzie miało wpływ na resztę życia, powinna być cholerna odpowiedź „C”, a nawet cały alfabet odpowiedzi. Także miłość i śledztwo kryminalne obejmuje tak wiele przeciwstawnych czynników, że można tutaj postępować jedynie na wyczucie.

Prawdopodobnie Leon nie lubił pracy „na wyczucie”, ale mimo tych nieskrywanych wątpliwości schował telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki, wcześniej umieszczając go w plastikowym woreczku, co było znacznie bardziej profesjonalne niż moja wymięta reklamówka.

- Dobra Mikołaj. Wezmę ten telefon ze sobą i porównam odciski, więc zakończmy twoją zabawę w studencką wróżkę. Jeśli się okaże, że przypadkowo masz rację, to wycisnę z tego telefonu, ile się da. Galeria, kontakty, bilingi. Co wie ten telefon, ja też się dowiem.

- Dzięki – powiedziałem, lekko się przy tym uśmiechając. – A co robiłeś na lotnisku? Jakiś trop dotyczący Alana?

- Nie. Całkiem inna sprawa. Gdyby każdy funkcjonariusz miał prowadzić tylko jedno śledztwo, to musiałoby być przynajmniej dziesięć razy więcej policjantów.

- Boże ucho – wtrącił niemal natychmiast Tołdi.

Mimo że powiedział to dość cicho, było to jednak na tyle głośno, aby każdy z z pokoju zdołał go usłyszeć.

Leon w ogóle nie przejął się tą uwagą, a może i nawet trochę się uśmiechnął, bo pewnie przez kilka lat swojej pracy słyszał już takie określenia własnej osoby, że stwierdzenie Tołdiego można było by uznać nawet za skromny komplement.

- Dobra – tym razem ja się wtrąciłem. – Ja powiedziałem ci wszystko, co wiem, to może teraz ty dorzucisz mi trochę brakujących puzzli.

Leon zrobił minę niczym moja mama dyktująca mi świąteczną listę zakupów, co zawsze wymagało u niej niezwykłego skupienia. Nie można było przecież o niczym zapomnieć, jakby liczba wyjść do supermarketu podczas świąt była przez coś ograniczona. Oczywiście wszystko stało się jasne, odkąd sam zacząłem

odpowiadać za organizację świąt. Każde wyjście do sklepu pachniało horrorem, wkurzonymi ludźmi i promocjami na alkohol.

- Dowiedziałem się paru rzeczy o życiorysie Alana, ale jeśli nie złapiemy jakiegoś nowego tropu, to równie dobrze moglibyśmy się bawić w przewidywanie zakończenia jakiegoś filmu, zanim zaczęlibyśmy go oglądać.

- Powiadomiłeś jego rodziców?

- I właśnie tutaj jest pierwszy problem. Oboje nie żyją od ponad 20 lat.

- Czy to jest jakaś rodzinka dinozaurów, gdzie każdy spotyka swój meteoryt stanowczo za wcześnie? – powiedziałem z wyraźną rezygnacją.

- Nie wiem Mikołaj, ale poczekaj na resztę.

Skinąłem głową, co spowodowało, że nawet Tołdi i Profesor przysunęli się bliżej, co było o tyle dziwne, że jeszcze przed chwilą traktowali Leona jak powietrze, jakby od tego zależała ich podwórkowa reputacja.

Leon wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki mały czarny notes, który otworzył na ostatniej stronie. Zupełnie jak moje licealne zeszyty, które też miały najciekawsze rzeczy dokładnie w tym samym miejscu.

- Ten nasz tajemniczy Alan Świderski. Lat 23 – zaczął Leon. – Brak jakiegokolwiek rodzeństwa, a kiedy miał 3 lata, jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Alanem zajęła się babcia od strony matki, lecz zmarła na serce jakieś pół roku później. Pewnie źle zniosła śmierć córki i nieoczekiwany replay macierzyństwa. Limit babci i dziadków chyba już się wtedy wyczerpał, bo Alan trafił do domu dziecka. Nie znalazłem żadnych wzmianek o jego edukacji, aż do okresu studiów. Studiował dziennikarstwo, ale po mojej jutrzejszej rozmowie z dziekanem wydziału zapewne skreślą go z listy studentów.

- Twój czarny humor naprawdę coraz bardziej mnie urzeka – roześmiałem się.

- Spałem dzisiaj tylko 4 godziny. Czuję się rozgrzeszony. Co więcej...

- kontynuował Leon. - Adres jego zameldowania jest już dawno nieaktualny. Alan wynajmował pokój blisko Starego Miasta, ale mieszkał tam tylko pół roku i tutaj jak na razie ślad się urywa. Czy naprawdę wszyscy studenci mieszkający na stacjach mają taki dziwny zwyczaj zmieniania miejsca zamieszkania po każdej większej, urządzanej tam imprezie?

- Różnie to bywa – odrzekłem, szeroko się uśmiechając. – Ale teraz wychodzi na to, że jak na razie w sprawie Alana nie mamy żadnego konkretnego punktu zaczepienia – dodałem, marszcząc czoło.

- Mam nadzieję, że jutro dowiem się więcej. Wypytam jego znajomych ze studiów, gdzie mieszkał, z kim się spotykał i tak dalej, ale to pewnie trochę potrwa. Teraz najważniejszą rzeczą jest znalezienie tej Julii, bo ona może być kluczem do rozwiązania tej sprawy, albo może zna kogoś, kto go posiada. Chociaż według mnie druga opcja jest dużo bardziej prawdopodobna, także jeśli ten twój magiczny telefon to ślepy zaułek, to będziemy musieli zacząć przesłuchania jego znajomych ze studiów, a uwierz mi, że ze studentami nie współpracuje mi się najlepiej, bo równanie „policja plus studenci” raczej rzadko dobrze się sumuje.

- Uwierz mi, że nikomu dobrze się nie współpracuje ze studentami. – roześmiałem się, ale Leon chyba nie podłapał tego żartu, bo schował swój notes z powrotem do kurtki, a następnie wstał, co wyglądało jak zbliżające się zakończenie spotkania policjanta z trzema studentami. Czy ktoś niedawno nie wspominał czegoś o...? Tak, wiem. Tani żart.

- Dobra Mikołaj. Będziemy w kontakcie. Ja idę teraz wyrobić swoją zaległą normę snu, a rano dam ten telefon do analizy. Ty też najlepiej idź już spać, bo jak tak dalej pójdzie, to twoją imprezę z okazji zdobycia tytułu magistra, będzie trzeba połączyć z twoją czterdziestką.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile dzisiaj spałem.

- Z tego co kojarzę, studenci nie mają jakichś specjalnych limitów - zaśmiał się Leon, a Profesor i Tołdi głośno mu zawtórowali.

- A nie możemy po prostu z tego telefonu znalezionego przez Mikię zadzwonić do tej Julii? – zapytał nagle Profesor, który właśnie skończył przecierać czerwone i załzawione od śmiechu oczy.

- Trafna uwaga detektywie – odpowiedział mu Leon, ale z tonu jego głosu można było wywnioskować, że ta uwaga wcale nie była aż tak celna. - Chciałbym się dowiedzieć, co proponujesz, żebym jej powiedział, jeśli faktycznie Julia z tego telefonu i Julia, której szukamy, to te same osoby. „Cześć. Tu podkomisarz Leon Muszyński. Znaleźliśmy martwego twojego byłego chłopaka. Na pierwszy rzut oka to samobójstwo, ale na drugi, to już morderstwo. Wybacz nam to początkowe małe niedopatrzenie. Przepraszam, że dzwonię z jego telefonu, ale ma naprawdę świetne gierki i nie mogłem się powstrzymać. Także w przerwie między graniem, a poranną kawą, tak sobie pomyślałem, że zadzwonię. Ale w sumie nie powinnaś się nawet denerwować, bo w końcu to tylko twój były chłopak.”

Nie wiem, czy Profesor spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi, ale jego nerwowe przygryzanie dolnej wargi raczej na to nie wskazywało.

- Dobra. Naprawdę muszę już lecieć, także dobranoc wszystkim i uważajcie na siebie w tym całym akademiku – rzekł Leon, kierując się w stronę drzwi. Wszyscy unieśliśmy dłoń w geście pożegnania, a po chwili mój oficer prowadzący znajdował się już na korytarzu.

Kilka sekund po zamknięciu drzwi Tołdi wyjął zza łóżka kolejnego czteropaka, co zaczynało być już trochę dziwną tradycją i kolejny uzupełnił zawartość szklanek. Wypiliśmy wszystko duszkiem, następnie przez chwilę siedzieliśmy w bezruchu, nie odzywając się do siebie. Tę niezręczną ciszę przerwał Tołdi.

- Miki, wpakowałaś się w niezłe gówno.

- Wiem. A najgorsze jest to, że to dopiero początek – odpowiedziałem, ściskając szklankę tak mocno, że pękła, raniąc mi przy tym prawą dłoń.

W nocy nie mogłem praktycznie zasnąć. To znaczy co jakiś czas udawało mi się zdrzemnąć na parę minut, lecz po chwili znów otwierałem oczy, jakbym przeczuwał nadejście jakiegoś niewyobrażalnie straszego koszmaru. Było to na tyle dziwne, że przecież miałem zajęcia na ósmą, a naprawdę żaden koszmar nie może się równać ze wstawaniem na poranne zajęcia. Tołdi nawet kiedyś wspominał, że na drugim semestrze miał zajęcia z koszykówki na 7 rano. Czy moja uczelnia jest jakąś zaginioną sekcją NBA?

Chrapanie Tołdiego i Profesora oraz krzyki na korytarzu też raczej nigdy nie powodowały u mnie problemów z zaśnięciem, ponieważ odkąd pamiętam, zawsze spałem z włączoną muzyką, więc gdy tylko panowała zupełna cisza, nie było mowy, żebym zmrużył oko. Ogólnie bardzo ułatwiało to moje życie, bo jak to mówią „spanie w ciszy to przywilej jedynie dla bogaczy”.

Jednak tym razem byłem po prostu przytłoczony zbyt dużą ilością wydarzeń, których mój mózg nie mógł do końca przetworzyć, więc znajdowałem się jakby w stanie stand-by, czyli ani nie spałem, ani nie imprezowałem, ani tym bardziej się nie uczyłem. Przez moją głowę przelatywały jedynie jakieś urywki myśli, z których większość była pozbawiona jakiegokolwiek sensu.

Aby nie leżeć beczynnym w łóżku, postanowiłem wyjść na balkon, mimo tego że od kilku dobrych godzin sypał śnieg. W moim nocnym kombinezonie, czyli białej koszulce i bokserkach z nadrukowaną rodziną Simpsonów byłoby mi raczej trochę za zimno, więc ubrałem na to zimową kurtkę Profesora z wielkim futrzastym kapturem. Wybrałem ją ze względu na jedno z praw obowiązujących w akademiku – była najbardziej na wierzchu. Kiedy zobaczyłem się w lustrze, stwierdziłem, że wyglądam jak bardzo nieudana próba upodobnienia się do średnio zamożnego rapera z gminnego ośrodka kultury.

Jak najciszej umiałem, wymknąłem się z pokoju i ruszyłem w stronę drzwi, które znajdowały się na końcu korytarza. Po ich otwarciu stwierdziłem, że kurtka Profesora nawet z tym szykownym futerkiem na kapturze nie zdoła mnie ochronić przed rześkim, grudniowym powietrzem. Mimo wszystko nie zawróciłem i stojąc już na balkonie, spotkała mnie już nie pierwsza świąteczna niespodzianka, ponieważ na dworze było tak dużo śniegu, że teren wokół akademików wydawał się być idealnie czysty. Trzeba zaznaczyć, że w czwartki o piątej rano porządek był ostatnią rzeczą, jaką można było tutaj zastać. Określenie studencka środa nie wzięło się przecież z niczego.

Kiedy zaciągnąłem się powietrzem, zorientowałem się, że ma już ten specyficzny, zimowy zapach. Nie wiem jak to dokładnie określić, ale kiedy spada pierwszy śnieg, powietrze jest całkowicie inne. Wraz z upływem kolejnych dni to uczucie zanika, a wtedy czeka się już tylko na pierwsze, wiosenne powietrze, które bardzo często mylone jest z zapachem piwa i kiełbaski z grilla. Teraz jednak wpatrywałem się w najwyższe budynki miasta, których oświetlone dachy były zapewne miejscem spotkań spojrzeń innych nieśpiących ludzi.

Gdyby był to filmowy przebój, pewnie stałbym na tym balkonie wypalając już trzeciego papierosa i dopijał szklankę whisky na podwójnym lodzie, a gdybym był

dzieciakiem, wyciągnąłbym gumę rozpuszczalną i czekał na ciężarówkę Coca-Coli.

W mojej obecnej sytuacji pozostał mi tylko ten nie najładniejszy już akademikowy balkon oraz wtłaczanie do płuc tego lodowatego powietrza, zamiast dymu zawierającego nikotynę. Chociaż nie ukrywam, że w takich momentach też czekam na ciężarówkę Coca-Coli. Patrząc jednak na zaśnieżoną ulicę, szczerze wątpię, że byłaby w stanie tutaj dojechać. Jakby to ładnie ująć? Tej zimy, jak każdej zimy, zima kolejny raz zaskoczyła kierowców. Tołdi zawsze mnie ostrzega, że pod koniec każdego semestru termin oddania indeksów bywa równie zaskakujący.

Po piętnastu minutach przypomniało mi się, że zapalenie płuc nie jest znowu taką lekką chorobą, więc postanowiłem wrócić do pokoju. Opatrunki na prawej ręce były już całe czerwone od krwi, która pochodziła ze skaleczeń, powstałych od ostrych krawędzi stłuczonej szklanki. Niestety plastry, które wygrzebał ze swojej kosmetyczki Tołdi, były już ostatnimi w naszym pokoju, więc byłem zmuszony użyć niezawodnego akademikowego wynalazku, czyli papier toaletowy plus taśma klejąca. Z małymi problemami wynikającymi z ciemności panujących w pokoju, wyjąłem z szafy nowe opakowanie papieru toaletowego, na którym znajdowała się podobizna szczeniaka. Nie wiem, czy to ja jestem nienormalny, ale co wspólnego z papierem toaletowym ma dwumiesięczny dalmatyńczyk. Chwilę później rozwiąłem wszelkie wątpliwości, sprawdzając w internecie cechy rasy tego psa. Moją uwagę szczególnie przykuły dwie, a mianowicie: „wrażliwość na samotność” oraz „duża łagodność”. Zapomniałem jeszcze wspomnieć o „łatwości transportu”.

Szukanie taśmy klejącej zajęło mi dużo więcej czasu i dopiero przeszukując na oślep biurko Profesora, natrafiłem na przedmiot, który swoim kształtem ją przypominał. Kolejne kilka minut poświęciłem na znalezienie jej końca, co zawsze niezmiennie mnie irytowało. Ludzkość już tak długo lata w kosmos, a nikt na razie nie wynalazł dobrego sposobu na odnajdywanie końca taśmy klejącej i jeśli przy poprzednim użyciu nie zagniemy jej na końcówce, mamy wyjęte kilka minut ze swojego życia.

Mój opatrunek nie prezentował się zbyt profesjonalnie, ale powinien wystarczyć do czasu, aż otworzą aptekę. Spojrzałem na zegarek. Była już 5:49. Nie było sensu iść spać, bo wtedy najwcześniej wstałbym gdzieś w okolicach południa. Podeszedłem z powrotem do laptopa i ruszyłem myszką, żeby wyłączyć wygaszacz. Radosny dalmatyńczyk ze strony o rasach psów znów radośnie na mnie spoglądał, lecz około 6 rano nie jestem zbyt wrażliwy na takie rzeczy, więc szybko kliknąłem w ikonę strony startowej i niemal natychmiast znalazłem się na stronie wyszukiwarki Google. Chciałem spróbować łatwego sposobu, którego Leon zapewne nie sprawdził, a który jest opisywany w większości nowych powieści kryminalnych. Wstukałem wyrażenie „Alan Świderski” do wyszukiwarki i miałem nadzieję, że natrafię na coś przydatnego. Niestety tak jak się domyślałem, trafień nie było tyle, ile by było po wpisaniu na przykład „Michael Jordan”. Znalazłem jedynie jakieś zestawienie średnich na koniec liceum, gdzie Alan figurował w środku stawki i wypowiedź dla jakiejś gazety, kiedy dziennikarz łapie kogoś na ulicy i chce, żeby powiedzieć coś na jakiś aktualnie gorący temat, na który nie ma się zazwyczaj żadnego pojęcia.

Trzeci wynik był jednak dużo bardziej interesujący, bo było to konto Alana na Facebooku. Gdyby Leon prowadził oficjalne śledztwo, jakiś policyjny specjalista od komputerów na pewno przeczesałby wszystkie portale społecznościowe, ale jako że wszystko toczyło się trochę bocznym torem, takie oczywiste działania mogły mu umknąć. Podobno gdy masz małe dzieci, to nie chcesz sprawdzać, gdzie właśnie ktoś imprezuje, czyli w ogóle zapominasz, że coś takiego jak social media w ogóle istnieje.

Po kliknięciu w odnośnik musiałem się zalogować, lecz mój trop okazał się jak na razie nietrafiony, bo Alan, którego podsunęło mi Google, był na oko trzydziestoletnim mężczyzną, którego serce biło w rytmie disco-polo, a w dodatku sprzedawałby duszę za wygazowane piwo w plastikowym kubeczku i lekko przypaloną kiełbaskę z grilla. Uśmiechnąłem się. Wystarczyło zamienić disco-polo na rocka i wydawałem się być identyczny. Nie zmieniało to faktu, że dla mojego małego śledztwa pierwszy strzał był niestety mocno chybiony.

Wiedziałem jednak, że Google zazwyczaj pokazuje tylko jedną osobę z konkretnego portalu społecznościowego na pierwszej stronie wyszukiwania, nawet gdyby zarejestrowanych było tam sto takich Alanów Świderskich. Także tym razem użyłem wewnętrznej wyszukiwarki Facebooka.

Szok. Wzdrygnięcie na krześle. Następnie dziwne ciarki pełzające od górnej części szyi, aż do samych końców palców u stóp. Zupełnie tak samo jak w kinowym horrorze, gdzie następuje nagle spowolnienie akcji i czeka się, aż coś strasznego pojawi się nagle na ekranie. Mimo że jest się na to przygotowanym, nie ma się żadnych szans, żeby przeciwstawić się nerwowej reakcji łańcuchowej. Chociaż może z drugiej strony właśnie dlatego, że tak się oczekuje tych za chwilę, zbyt nagle i zbyt szybko wyskakujących potworów”, reakcja bywa dużo silniejsza. Właśnie przeżywałem coś identycznego, patrząc na trzecią od góry miniaturkę zdjęcia, na której widniał uśmiechnięty Alan Świderski. Ten sam Alan, którego poprosiłem o popilnowanie frytek i ten sam Alan, który nie dotrzymał tej obietnicy. I może właśnie dlatego, że tak bardzo chciałem go tutaj znaleźć, nie byłem się w stanie ruszyć przez kilkanaście sekund, bo z potworami z kinowych horrorów raczej nigdy wcześniej nie zamienia się kilku miłych słówek.

Lekko drżącą ręką skierowałem kursor na czoło Alana i kliknąłem tak mocno, że wydawało mi się, że za pomocą tej myszki nie będę już w stanie pograć w sieciowe strzelanki pokroju Counter Strike.

Z profilu Alana niestety dużo się nie dowiedziałem, bo nie umieścił tutaj zbyt wielu informacji. W dodatku znaczna ich część była pewnie widoczna tylko dla znajomych, a chyba nie miałem zbyt co liczyć, że Alan zaakceptuje moje zaproszenie. Zauważyłem tylko, że Alan tak jak ja, jest fanem powieści kryminalnych oraz zespołów rockowych. Nie było to jednak zbyt przydatne, bo brzmiało to jak typowy zakres zainteresowań ludzi wieku 20+ i 30-. Jego znajomi nie byli chyba jeszcze świadomi tego, że Alan nie żyje, bo nie spostrzegłem żadnych smutnych wpisów z obowiązkowym zniczem na końcu. Zabawne. Nikt nie napisze ci

w twoim profilu trzech znaków, a mianowicie: [*] i twoje życie w internecie trwa w najlepsze.

Przeszedłem do galerii, w której znajdowały się jedynie dwa zdjęcia i znów zbyt mocnym kliknięciem powiększyłem pierwsze z nich, które wcześniej było miniaturką przy wyszukiwaniu. Przez chwilę wpatrywałem się w twarz Alana i wspomnienia powróciły z niewyobrażalną prędkością, jakby wszystko działo się co najmniej wczoraj. Dopiero po chwili się zorientowałem, że przecież wszystko wydarzyło się właśnie wczoraj. Detektyw Miki. Tak, to właśnie ja.

Alan na zdjęciu miał krótsze włosy i dużo mocniejszą opaleniznę, co pewnie było skutkiem otaczającego go krajobrazu, wskazującego na jakiś kraj leżący zbyt blisko równika. Niestety pod spodem nie zauważyłem żadnego podpisu, więc nie byłem w stanie określić, jakie to państwo. Musiało być tam jednak aż nazbyt uroczo, bo uśmiechnięty Alan w koszulce z podobizną Boba Marleya i w krótkich spodenkach wyglądał tak żywo, że przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że drzwi od mojego pokoju zaraz się otworzą i wejdzie on równie uśmiechnięty i ubrany w pidżamę z napisem „przedświąteczna niespodzianka”. Zamiast tego usłyszałem tylko Tołdiego, którego conocna, poranna godzina chrapania miała się właśnie rozpocząć.

Szybko zapisałem zdjęcie na pulpicie, a następnie kliknąłem w hiperłącze z napisem „dalej”, tym razem oszczędzając już trochę myszkę. Kolejne zdjęcie zostało zrobione w tej samej scenerii i zapewne w tym samym czasie, lecz z jednym małym wyjątkiem. Na tym zdjęciu Alan nie był sam. Był z dziewczyną. W dodatku tym razem pod zdjęciem był podpis – „Z Julią na wakacjach. Roztapiamy się od słońca”.

- Miki w pięknym stylu powraca do gry – powiedziałem cicho do siebie, również zapisując to zdjęcie na pulpicie.

Rozdział 7

„Podobno przyszłą żonę najlepiej poznać w bibliotece. Szkoda, że tak rzadko tam bywam”

Jednak trochę przesadziłem ze swoim detektywistycznym powrotem do gry, ponieważ na profilu Alana nie znalazłem żadnego powiązania z Julią. Nie udało mi się poznać jej nazwiska, nie wspominając już o innych informacjach. Alan nie miał jej w znajomych, czyli pewnie była zwolenniczką czysto analogowego sposobu poznawania ludzi. Albo usunęła go z tego grona zaraz po tym, jak z nim zerwała. To brzmiało także całkiem prawdopodobnie.

Byłem strasznie zawiedziony, że wciąż nie mogę odnaleźć jej personaliów, chociaż byłem już tak blisko. Oczywiście przeszukałem też pozostałe social media, wpisując wszystkie możliwe konfiguracje słów „Alan Świderski” oraz „Julia”, jednak kiedy znalazłem się na rosyjskich portalach społecznościowych, stwierdziłem, że nie ma to większego sensu. Przecież nie wpiszę też do Google słowa „Julia”, bo da to tysiące wyników powiązanych ze sobą, jak ja i ogólnokrajowe zrzeszenie matematyków. Również napisanie do wszystkich znajomych Alana z Facebooka, z prośbą o podanie jakiegokolwiek kontaktu do Julii, byłoby bez sensu. Gdybym napisał jakąś ściemę, wyszedłbym na psychola, który szuka konkretnej dziewczyny przez internet, a gdybym napisał prawdę, wyszedłbym na psychola, którego jarają byłe dziewczyny trupów. W obu przypadkach zostanie psycholem było nieuniknione.

Trochę zrezygnowany otworzyłem w Photoshopie zdjęcie, na którym Alan i Julia wyglądali na niesamowicie szczęśliwych w tej tropikalnej scenerii. Zresztą chyba każdy w takiej scenerii jest szczęśliwy, nawet gdyby był tam całkowicie sam. Plaża + woda + słońce + alkohol w all inclusive mają niesamowicie leczniczy wpływ na człowieka.

Powiększyłem zdjęcie trzykrotnie, tak że na ekranie pozostała sama Julia. Co tu dużo mówić. Była piękna. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jakby poznała się z Alanem na plakacie magazynu mody, jednak po dłuższym wpatrywaniu się w nią, stwierdziłem, że to trochę inny typ urody. Rodzinny typ urody. Czyli taki, że gdy pierwszy raz widzi się taką dziewczynę, oprócz oczywistych zwierzęcych instynktów, budzą się głęboko ukryte ojcowskie odruchy. Ma się ochotę stworzyć z taką dziewczyną rodzinę wielodzietną, nawet jeśli nie byłaby zbyt przekonana do tego pomysłu.

Julia była ubrana w czarne bikini w białe groszki, które idealnie podkreślało jej niemal perfekcyjną figurę. Ogólnie chyba nie ma bardziej szczerzej rzeczy niż bikini. Wszelkie niedoskonałości są od razu potęgowane, lecz doskonałości są, jakby to powiedzieć... jeszcze doskonalsze.

Przesunąłem obraz w górę, jeszcze trochę go powiększając, tak że widziałem teraz tylko samą twarz. Chociaż jeszcze na chwilę zmniejszyłem wszystko, żeby rzucić okiem na bikini, ale raczej nie dlatego, że podobał mi się wzór w retro groszki.

Bardzo zdziwił mnie fakt, że pomimo tego, że Julia była brunetką o ciemnej karnacji, miała błękitne oczy. Nie chciałbym wyjść na taniego romantyka, żeby porównywać je do niebieskiej taflí oceanu lub innych, mniej lub bardziej oklepanych tekstów. W akademiku wygrałoby raczej określenie, że oczy Julii były koloru niebieskiej wódki rozrobionej pół na pół ze Sprite. Za to Toldi zawsze nazywa takie dziewczyny: „skóra z mahoniowego blatu, oczy z denaturatu”. A Profesor chyba nawet nie wie, że istnieją dziewczyny o ciemnej karnacji i niebieskich oczach.

Moją uwagę zwróciły jeszcze włosy spięte w nieco fantastyczny sposób, tworząc przy tym naprawdę udany „artystyczny nieład” (mój „artystyczny nieład” niestety rzadko bywa taki artystyczny) oraz niesamowicie ładne zęby. Przy pięknych włosach i uśmiechu moja wewnętrzna asertywność spada do minus dziesięciu.

Zanim zamknąłem zdjęcie, wcześniej je wydrukowałem, przy okazji mordując poziom tuszu w drukarce. Do końca nawet nie wiem, po co mi takie wydrukowane zdjęcie, ale zazwyczaj tak robią w filmach kryminalnych. Zamiast przykleić je do tablicy korkowej, która też zawsze znajduje się w takich filmach, poskładałem je cztery razy i wsunąłem do portfela pomiędzy legitymację studencką i prawo jazdy, czyli aktualnie dwa najważniejsze dokumenty w moim życiu. Julia nie mogła znaleźć bardziej elitarnego miejsca w moim portfelu, bo przegroda z pieniędzmi rzadko bywa aż tak elitarna.

Niestety moje nocne odkrycia były na tyle męczące, że oczy zaczęły mi się powoli i samoistnie zamykać. Tak właśnie kończą się zarwane nocki. Miałem do wyboru dwie rzeczy. Prysznica albo krówki. Wybór był aż nazbyt oczywisty.

Otworzyłem jedną z moich szuflad i wyciągnąłem zamknięte jeszcze opakowanie krówek. Ogromne ilości glukozy zawarte w tych cukierkach stawiają mnie lepiej na nogi, niż niejedna kawa. Oficjalnie dodaję krówki do mojej kulinarnej listy najlepszych rzeczy na świecie. Zaraz obok pizzy, burgerów oraz dużej dolewki coli.

Po zjedzeniu całego opakowania w niecałe dziesięć minut, mój mózg przeszedł na zdecydowanie szybsze obroty. Sprawdziłem jeszcze maila. Login „Miki_20” był już faktycznie trochę przestarzały, ale jakoś nie miałem czasu tworzyć nowego. Na pewno istnieją dużo gorsze sposoby odmładzania się.

Wśród tony spamu znalazłem dwie wiadomości przesłane poprzez serwis z ogłoszeniami lekcji gry na gitarze. Dwóch nastolatków chciało zostać kolejnymi Jimi Hendrixami. To dobrze, bo w tym miesiącu pieniądze bardzo mi się przydadzą. Wigilia i Sylwester są przecież dwoma najdroższymi dniami w roku, ale więcej pieniędzy i tak wydam pewnie w Sylwestra. Chyba nie muszę tłumaczyć czemu. Dobra. Wy tłumaczę. Jeśli przeznaczą się więcej pieniędzy na Wigilię niż na Sylwestra, to znaczy, że przeszło się na stronę dorosłości bez możliwości powrotu. A jak na razie starałem się tego uniknąć.

Wysłałem szybko wiadomości do nowych adeptów gitary z możliwymi terminami lekcji w przyszłym tygodniu, a następnie wyłączyłem komputer. Podczas zamykania systemu rzuciłem jeszcze okiem na prawy dolny róg ekranu, żeby sprawdzić godzinę. Była 6:30. Ostatnia pora, żeby wziąć długi, nawet godzinny prysznic. W akademiku czasami zapomina się hasła typu „oszczędzaj wodę”, a ja naprawdę uwielbiam brać prysznic. Oczywiście jeszcze bardziej uwielbiam brać go z osobą towarzyszącą, ale teraz musiałem zadowolić się samym sobą, jakkolwiek głupio by to brzmiało.

- Jak to nie ma pączków? – zapytałem podniesionym głosem, chociaż większość uznałaby to za krzyk. Sprzedawczyni obdarowała mnie groźnym spojrzeniem, lecz mój wzrok nadal wygrywał w tym pojedynku.

- Szef wczoraj zapomniał zamówić. Czy to naprawdę taki problem? – odpowiedziała równie podniesionym głosem, co pewnie większość również uznałaby za krzyk.

Czy był to problem? Owszem był. Ekspedientka w dodatku była nowa i chyba nie do końca zdawała sobie sprawy, po jak cienkim lodzie teraz stąpa. Ja i poranny pączek z marmoladą to połączenie tak nierozzerwalne, zupełnie jakby było częścią starożytnej przepowiedni. W dodatku ekspedientka zdążyła się już pokłócić z trzema osobami stojącymi przede mną, a teraz ja miałem być jej nieszczęśliwym numerem cztery. Mimo dużej chęci podjęcia rękawicy i wdania się w ogromną pączkową kłótnię, wybrałem zamiennik, czyli drożdżówkę z budyniem. Oczywiście natychmiast pogorszył mi się humor, bo drożdżówka w moim świecie nigdy nie będzie równać się pączkowi, ale te straty zrekompensowałem sobie puszką coli.

Opuszczając sklep, natychmiast poczułem świąteczny klimat. Zima była już niemal w pełni, na co wskazywały zalegające wszędzie ogromne ilości śniegu i temperatura oscylująca wokół siedmiu stopni poniżej zera.

Wypełniłem płuca mroźnym powietrzem i musiałem się trochę pospieszyć, żeby zająć dobre miejsce na wykładzie z historii architektury. Na wykładach jest zupełnie jak w kinie, ostatnie rzędy są najbardziej oblegane. Miałem mało czasu, dlatego wysłałem esemesa do Lucego, czyli mojego najlepszego kumpla z grupy, po czym ruszyłem w kierunku centrum wykładowego.

Lucy tak naprawdę nazywał się Adam Maczewski, a jego ksywa „Lucy” była modyfikacją licealnego pseudonimu „Lucyfer”, który zawdzięczał członkostwu w subkulturze metalowców, słuchających najbardziej ekstremalnych odmian tej muzyki. Aktualnie po jego ubiorze nie można było stwierdzić żadnych śladów jego „wcześniejszego życia”, ponieważ ubierał się według mnie aż nazbyt modnie, zupełnie jakby codziennie czytał Vouge’a do porannej kawy. Ostał się jedynie pseudonim, ale jak już wspominałem, był on zmodyfikowany, ponieważ „Lucy”

wiele osób wymawiało jak brytyjskie żeńskie imię, czytając „c” jako „s”, jednak ja obstawałem przy polskiej wersji.

Lucy miał około 190 cm wzrostu, rude włosy, jasne, niebieskie oczy i dużo piegów na twarzy, czyli wyglądał jak pierwsza w kolejce ofiara plażowego słońca. Jego życiowe motto mówiło, że: „Każda kobieta w swoim życiu musi spędzić noc z rudowłosym mężczyzną”. Ciekawa teoria, ale jako że był całkiem przystojny, bardzo lubił pomagać wszystkim kobietom w spełnianiu tego niecodziennego marzenia. Wołałem się tylko nie domyślać z jakim skutkiem.

Lucy dodatkowo był tak zwanym spadochroniarzem, czyli powtarzał rok. Zdarza się tak, jeśli studenckie życie okazuje się trochę zbyt przytłaczające. Jednak nie przejmował się tym zbytnio, bo twierdził, że w końcu jakoś trzeba przedłużyć sobie młodość, a w dodatku według niego to ja byłem w tym niekwestionowanym mistrzem.

Kiedy wszedłem do sali wykładowej, od razu spostrzegłem Lucego siedzącego w środku przedostatniego rzędu. Teraz jedna z głównych zasad wykładowych. Należy unikać ostatniego rzędu, ponieważ gdy jakiś profesor zbyt poważnie traktuje swój przedmiot, może nastąpić małe przesiedlenie, powodujące, że ostatni stają się nagle pierwszymi, ale na szczęście przedostatni bardzo rzadko stają się drugimi. Jeśli ktoś jeszcze studiuje, ta bezcenna rada była gratis.

Trochę zajęło mi dotarcie do wybranego miejsca, bo musiałem przecisnąć przez siedzących już tutaj studentów. Nie było to proste, ale kiedy w końcu tego dokonałem, Lucy uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Co tam Miki? Akademik jeszcze nie wykończył twojego starczego organizmu?

- Dobrze się konserwuję – odparłem, przybijając mu żółwika, po czym starałem się wygodnie rozsiaść na krzesełku, które zdawało się mieć określenie „wygodny” na liście słów zakazanych.

- Kiedy u was jakaś świąteczna imprezka? Chyba nie zapomnieliście o tej akademikowej tradycji?

Uśmiechnąłem się.

- Tołdi z Drzazgą organizują w następnym tygodniu, czekaj, jak to nazwali - „wielką akademikową wigilię” - powiedziałem to z wyraźną dumą w głosie. - Miejsce imprezy to całe piąte piętro – moja дума od razu zrobiła się jeszcze większa.

- Yeah! Jak Tołdi z Drzazgą robią imprezę, to nawet nie sprawdzam, czy są jakieś inne imprezy w tym czasie.

W ogóle mnie to nie zdziwiło. Lucy był stałym bywalcem imprez w akademiku, bo rok temu sam był jego mieszkańcem. Niestety już tam nie mieszkał z prozaicznego powodu. Wyrzucili go. Lucy został trzy razy wpisany do czarnej książki kierowniczk, co było równoznaczne z natychmiastową eksmisją, ale dzięki Lucemu dowiedzieliśmy się, że coś takiego jak czarna księga w ogóle istnieje. Tak przykra sytuacja ani trochę go jednak nie załamała. Znalazł jakąś dorywczą pracę, wynajął pokój i może tym razem uda mu się skończyć pierwszy rok (mam nadzieję,

że razem ze mną). Lucy zwykł także mawiać, że może wyrzucili go z akademika, ale akademika z niego nigdy nie wyrzuca.

- Jeszcze impreza na piątym piętrze. Piętro najładniejszych dziewczyn, czyli idealna lokalizacja. – wciąż podniecał się Lucy, lecz profesor Karwacki od historii architektury rozpoczął właśnie wykład, uciszając wszystkich wystudiowanym ruchem ręki. Ta niezręczna cisza trwała na szczęście tylko 10 minut, po czym powróciliśmy do rozmowy.

- W ogóle słyszałem, że stałeś się nieudanym ratownikiem samobójców – szepnął Lucy, ale po chwili powrócił do normalnego tonu głosu, bo profesor Karwacki zachowywał się, jakby istniały dla niego tylko trzy pierwsze rzędy, także nasz był dla niego praktycznie niewidzialny.

- Dziwna sprawa – westchnąłem. - Ogólnie wolałbym o tym nie gadać, ale może dla ciebie zrobię wyjątek.

- Tylko mi nie mów, że po tym jak nie uratowałeś samobójcy, stałeś się nagle wrażliwy i chowasz to wszystko w swoim czarnym serduszk? – zapytał z szyderczym uśmiechem Lucy.

- Ile do końca wykładu?

- Godzina dziesięć – odpowiedział, lecz tym razem z czymś całkowicie przeciwnym do jakiegokolwiek uśmiechu.

- Dobra. To mam trochę czasu, żebyś się przekonał, jak bardzo stałem się wrażliwy.

- Czyli muszę teraz powiedzieć, że nie mogę się doczekać, bo inaczej zaraz się tutaj rozplączesz?

- Oczy mi już wyschły i zabrakło łez – odparłem, próbując to zaśpiewać w stylu taniej, popowej piosenki.

- Zapewne – roześmiał się Lucy. - Dobra, zaczynaj.

Opowiedzenie całej historii zajęło mi jakieś 20 minut, ponieważ starałem się nie omijać żadnych fragmentów, jak to było w przypadku, gdy opowiadałem to wszystko Oli. Ogólnie umówiliśmy się z Tołdim i Profesorem, że nie będziemy nikomu mówić całej prawdy, pomijając całkowicie część z policją, lecz naprawdę nie jestem zbyt dobry w dotrzymywaniu obietnic.

Gdy kończyłem mówić o tym, jak Leon zabrał ze sobą telefon znaleziony przeze mnie portierni, a teraz czekam na wyniki odcisków palców i nie wiem, czy mam się jakkolwiek angażować w to śledztwo, Lucy zaczął marszczyć czoło w geście niedowierzania, lecz po chwili rzekł:

- Pokaż mi lepiej zdjęcie tej Julii.

Szybko wyjąłem zdjęcie z portfela i podałem je Lucemu, który na szczęście po dwudziestominutowym streszczeniu wiedział o tym, że wydrukowałem je podczas nocnego przeszukiwania internetu i nie musiał zadawać stosownego pytania, dlaczego noszę je w portfelu. Przez dłuższą chwilę przyglądał się fotografii, a gest niedowierzania znowu powrócił na jego czoło.

- Przesada. Jaka ładna. Dobrze, że już wolna. – powiedział Lucy, cały czas wpatrując się w zdjęcie.

- Co jak co, ale twoja wrażliwość zawsze pozostanie taka sama – zakpiłem.
- Musisz mi wybaczyć. Jestem rudy.
- Tak wiem. Zaraz zaczniesz mi opowiadać, że twoim największym sukcesem w szkole było to, że nie miałeś ksywy „Rudy”.

Lucy zaczął się głośno śmiać, ale najwyraźniej profesor Karwacki nie podzielał jego dobrego humoru, ponieważ kazał Lucemu podać nazwisko, które natychmiast zanotował w swoim czarnym zeszycie (czy wszystkie takie rzeczy naprawdę zawsze muszą być czarne?). Tym sposobem „spadochron” Lucego stawał się coraz bardziej gotowy do otwarcia i oddania drugiego skoku w kierunku powtarzania pierwszego semestru, także do końca wykładu musieliśmy być cicho, a ja z nudów zacząłem nawet słuchać opisu różnic pomiędzy kolumnami doryckimi, jońskimi i korynckimi, lecz przyznaję, że był to błąd. Naprawdę chyba odkryłem lekarstwo na bezsenność.

Gdy wykład w końcu się skończył, Lucy posłał niezbyt miłotkie spojrzenie profesorowi Karwackiemu, lecz szybko szturchnąłem go w ramię, bo nie chciałem, żeby wykładowca jeszcze jakoś dodatkowo oznaczył go w swoim mrocznym zeszycie. Chociaż Lucy pewnie byłby dumny gdyby obok swojego nazwiska miał czarne serduszko, pentagram albo trzy szóstki.

- Dobra – zagadnąłem go, kiedy byliśmy już w holu. – Co myślisz? Jak twoim zdaniem mam się teraz zachować?

- Wykraść ten zeszyt i zniszczyć kartkę z moim nazwiskiem. Prawdziwi przyjaciele tak robią.

Parsknąłem śmiechem. Jeśli profesora Karwackiego cokolwiek podnieca w życiu, to może to być tylko ten czarny zeszycik. Na bank nawet z nim sypia.

- Chodziło mi raczej o to, czy mam pomagać Leonowi w tym śledztwie, czy tylko statystować. – dodałem po chwili.

- Wiadomo. Chyba nie myślałeś, że przejąłem się tym, że mnie zapisał.

- Sam nie wiem. Ja bym się trochę wkurzył.

- Proszę cię Miki. W tamtym roku byłem w nim zapisany trzy razy, będąc tylko na dwóch wykładach. W ogóle jestem zażenowany, że Karwacki nie pamięta mojego nazwiska – powiedział Lucy, literując słowo „zażenowany”. – Dziewczyny zawsze pamiętają moje nazwisko, a zwłaszcza wtedy, gdy co najmniej trzy razy wpiszę im się do zeszyciku – dodał po chwili z mimowolnym uśmiechem.

- Nie wątpię.

- Ale wracając do tego Leona, to chyba się nie wywiniesz, bo powiedzmy sobie szczerze, ma na ciebie dość solidnego haka. Gdybym ja miał coś takiego na kogoś, to do końca życia nie musiałbym sprzątać w domu.

Roześmiałem się.

Dobra, teraz czas na przyziemne sprawy – rzekł nagle Lucy. Jakie mamy dzisiaj zajęcia?

Wyjąłem telefon i włączyłem plik pdf z planem zajęć.

- Analiza formy, projektowanie i geometria wykreślna.

- Chodźmy. Czas umierać – rzekł Lucy, poklepując mnie po plecach.

Wzruszyłem ramionami i przyspieszyłem kroku. Czas przeprosić się z edukacją. Kolejny raz.

- Dlatego zapamiętajcie to raz na zawsze. W geometrii wykreślnej wszystko jesteście w stanie rozwiązać za pomocą transformacji – to zdanie doktora Chmielewskiego było ostatnim na dzisiejszych ćwiczeniach. Mimo że naprawdę go lubiłem, półtora godziny słuchania o rzutniach, kładach i punktach przebicia nie pozostawiło obojętnym mojego systemu nerwowego. Najchętniej położyłbym się spać. Najpierw musiałem jednak spakować swój zestaw młodego kreślarza składający się z kilku ołówków o różnej grubości, gumki chlebowej, cyrkla i dwóch ekier. Po wrzuceniu wszystkiego do torby w losowej kolejności spojrzałem na Lucego, którego mina była pełna emocji, jak dwie linie równoległe, które nigdy się nie przetną.

- Dobrze, że już koniec na dzisiaj – rzuciłem, wstając i kierując się w stronę wyjścia.

- Dzięki za informację „Captain Obvious” - roześmiał się Lucy, który w przeciwieństwie do mnie, nie musiał nic pakować, bo od początku semestru nie odwiedził jeszcze sklepu plastycznego i większość ćwiczeń wpatrywał się w moje średniej jakości próby przerysowywania zadań z tablicy.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, reszta naszej grupy umawiała się na wieczorne piwo i planszówki, a w razie możliwości powtórzenie zadań na poprawę z mechaniki ogólnej. Mimo że nie było jeszcze wyników z kolokwium, ja i kilkanaście innych osób znało już swoją ocenę. Tak, ten przedmiot wyzwala magiczne zdolności jasnowidzenia. Już miałem się zapytać, gdzie i o której się spotykamy, gdy telefon w mojej kieszeni zawibrował. Kiedy sprawdziłem, kto dzwoni, poczułem niemiłe ukłucie w żołądku. To był Leon.

- Cześć Mikołaj. Nie przeszkadzam? - w słuchawce odezwał się znajomy głos.

- Właśnie skończyłem zajęcia.

- To dobrze się składa. Masz dzisiaj trochę czasu o szesnastej?

Spojrzałem na Lucego, który czekał na mnie, aż skończę rozmawiać, żeby później wkręcić się na imprezę z planszówkami i mechaniką ogólną. Za pomocą ruchu warg przekazałem mu dwa słowa: „policja” oraz „Leon”, od razu uniósł on do góry oba kciuki na znak, że rozumie. Albo życzy mi szczęścia.

- O szesnastej? - powtórzyłem pytanie, jednocześnie sprawdzając godzinę na zegarku. Była 15:23. - To zależy, gdzie musiałbym pojechać.

- Kojarzysz burgerownię „Dziki Dzik”?

- Pytanie – roześmiałem się. - W dziedzinie burgerów już dawno mógłbym robić doktorat. W Dziku spokojnie mogę być o szesnastej. A czego konkretnie się dowiedziałeś? Coś z telefonem z portierni?

- Nie wiem, jak to możliwe, ale ten telefon naprawdę należał do naszego Alana. Odciski pasują.

Zmrużyłem oczy, a Leon kontynuował.

- Sprawdziłem numer Julii z telefonu i na szczęście był na abonament. Dzięki temu poznałem adres jej matki, bo to na nią był zarejestrowany telefon. Niedawno odwiedzili ją moi kumple z zaprzyjaźnionego patrolu i okazało się, że Julia wyprowadziła się pół roku temu, żeby zamieszkać z chłopakiem. Chyba znasz jego magiczne imię?

- Nasz kochany Alan. A masz adres tej Julii?

- Wiadomo. Odznaka to bardzo dobry wyzwalacz prawdy. Dobra, ja muszę załatwić jeszcze jedną rzecz, a obgadamy za niedługo wszystko w Dziku. Jakbym się spóźniał, zamów mi burgera z podwójnym serem plus frytki i cola.

- Widzę, że podobnie widzimy dzisiejszy obiad – roześmiałem się. - Do zobaczenia – dodałem i się rozłączyłem. Przez chwilę wpatrywałem się w ludzi z mojej grupy, którzy przekrzykiwali się, jaki alkohol piją podczas dzisiejszego wieczoru. Nagle doskoczył do mnie Lucy, pytając się, co chciał ode mnie Leon i czy będę dzisiaj na wspólnym uczeniu się. Roześmiałem się. Trzy ostatnie słowa powinny być wzięte w ogromny cudzysłów. Na pytanie o imprezę odpowiedziałem, że nie wiem, ale na pewno dam mu znać, a jeśli chodzi o Leona, to dopiero się czegoś dowiem po nadchodzącym spotkaniu. Lucy wzruszył ramionami i powiedział, że bym go tylko nie oszukał, bo potrzebuje kompana do whisky dzisiejszego wieczoru, a następnie ruszył w stronę dziekanatu, bo miał tam coś do załatwienia. Na uwagę, że przecież dziekanat jest czynny do 13:00, zaniósł się głośnym śmiechem i skwitował, że takie godziny otwarcia są dla przestraszonych pierwszaczków. Zupełnie takich jak ja. Tym razem to ja wzruszyłem ramionami i spojrzałem na zegarek. Była 15:27.

- Chyba czas iść już na przystanek – powiedziałem do siebie, a następnie ruszyłem w stronę wyjścia, mając już w głowie wizualizację nadchodzącego burgera.

Z podwójnym serem.

Z frytkami.

I colą.

Mimowolnie przyśpieszyłem kroku.